

HISTERIA

# KOSA



ADWENTOWSKA ♦ BŁACH ♦ KONWIŃSKA  
MUSIAŁOWICZ ♦ SOBOTA ♦ STĘPIEŃ ♦ ZACHARSKA

# SPIS TREŚCI:

Wstęp	Magdalena Paluch	3
GŁÓD	Klaudia Zacharska	5
KRÓTKA LETNIA OPOWIEŚĆ	Paulina Stępień	16
KRÓTKA ZIMOWA OPOWIEŚĆ	Magdalena Sobota	38
OCZY, KTÓRE NIE WIDZĄ	Sylwia Błach	59
OTWORZYSZ DRZWI SŁOŃCU	Martyna Konwińska	65
TY, TYLKO TY	Dagmara Adwentowska	72
WARIATKA	Anna Musiałowicz	83

**Redakcja:** Dagmara Adwentowska, Anna Musiałowicz, Magdalena Paluch

**Okładka:** Joanna Halerz

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Krzysztof Kowalik

**Korekta:** Klaudia Zacharska

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Kiedy w 2020 roku, dzięki współpracy z Wydawnictwem IX, ukazała się antologia polskiej grozy kobiecej *ZABAWKI*, wiedziałam, że to dopiero początek mojego autorskiego projektu #grozajestkobieta. Dla tych z Was, którzy o nim nie słyszeli, wspomnę krótko, że jest to akcja mająca na celu promocję polskiej grozy kobiecej. Nie ma w tym żadnego podtekstu feministycznego ani ideologicznego. Po prostu chciałam pokazać Czytelnikowi, że są w Polsce autorki, które parają się horrorem. I myślę, że dzięki *ZABAWKOM* więcej osób zaczęło je dostrzegać i doceniać.

Dziś, kontynuując swój projekt, chciałabym oddać w Twoje ręce, drogi Czytelniku, antologię grozy kobiecej *KOSA*. Luźny pomysł, o którym rozmawialiśmy z Błażem z Magazynu Histeria, pewnego pięknego dnia stał się e-bookiem z opowiadaniem siedmiu autorek – tych bardziej, jak i może mniej znanych – a jego motywem przewodnim jest, jakżeby inaczej, kobieta. To właśnie ona stanowi punkt wspólny wszystkich siedmiu opowiadań.

Nie od dziś wiadomo, że kobiety pisały straszne historie od bardzo dawna: Mary Shelley (to właśnie ona zapoczątkowała powieść gotycką), Anna Olimpia Mostowska, Ann Radcliffe, Susan Hill, Shirley Jackson, Elizabeth Gaskell czy Daphne du Maurier – to tylko kilka nazwisk, które od razu przychodzą do głowy, kiedy myśli się „autorka grozy”. Często w horrorze bohaterką lub protagonistką jest właśnie kobieta. Również w *KOSIE* znajdziecie różnorodne ujęcia kobiecych postaci: tytułową *Wariatkę* w opowiadaniu Anny Musiałowicz, frywolną Elizę, którą stworzyła Dagmara Adwentowska czy pisarkę z historii Magdaleny Soboty. Całość powstała pod moim ulubionym hasztagiem, czyli #grozajestkobieta.

Każde z opowiadań otrzymało od Kowalik\_art wyjątkową ilustrację, która jest idealnym uzupełnieniem tekstu i pozwoli Ci, Czytelniku, na pobudzenie Twojej wyobraźni podczas lektury...

Mam nadzieję, że spędzisz strrrasznie przyjemny czas z naszą antologią i dzięki niej, w przyszłości, sięgniesz po inne teksty autorek.

Ja natomiast ze swej strony chciałabym podziękować wszystkim zaangażowanym za chęć udziału w *KOSIE*, czyli:

- autorkom: Dagmarze Adwentowskiej, Sylwii Błach, Martynie Konwińskiej, Annie Musiałowicz, Magdzie Sobocie, Paulinie Stępień i Klaudii Zacharskiej za zaufanie i czas spędzony przy tworzeniu antologii;

- By Widomska za fenomenalną okładkę

- Kowalik\_art za wyjątkowe ilustracje;

- a przede wszystkim redaktorom Histerii: Błażewi Jaworskiemu i Maciejowi Zawadzkiemu, którzy przygarnęli nas do siebie i dzięki którym możecie teraz czytać te świetne teksty.

Magdalena Paluch (Grozownia)







Klaudia Zacharska

*Z pozdrowieniami dla Kamili (@suspense\_books),  
która lubi włóczyć się po ruinach i wciąż czegoś tam szuka...*

Nigdy nie będę szczęśliwa.

Cokolwiek to właściwie znaczy.

Szczęście jest dla mnie abstrakcją. Niewytłumaczalnym fenomenem, którego nigdy nie czułam. Zdaje się niemalże zmyślane, choć jednocześnie odnoszę wrażenie, że dla większości ludzi jest raczej zrozumiałe. Zachowują się, jakby je znali...

To dlatego zdarza mi się pytać ich, na czym polega szczęście. Naprawdę chciałabym je pojąć. Poczuć.

Więc pytam. Nielicznych znajomych, ale również całkiem obcych ludzi. Spoglądają wtedy na mnie z zaskoczeniem, wyraźnie wytrąceni z równowagi. A potem udzielają odpowiedzi, które w żaden sposób nie przybliżają mnie do zrozumienia.

Nierzadko mówią po prostu, że szczęście to coś dobrego, co sprawia, że się uśmiechasz. Że dzięki niemu masz chęć wstać rano z łóżka. Spoglądasz w niebo, bierzesz głęboki wdech i po prostu... po prostu jesteś szczęśliwa.

Mało pomocne.

Niektórzy łączą to wrażenie z innymi ludźmi. Krewnymi, przyjaciółmi, bliskimi, którymi się otaczają.

Inni z codziennością. Pewna kelnerka po kilkuminutowych rozważaniach doszła do wniosku, że jej szczęście tkwi w drobiazgach. W smaku porannej kawy, szumie drzew i zapachu zielonych jabłek. W nieśpiesznym spacerze ulicami miasta, w spojrzeniu kierowcy autobusu, w uśmiechu jej siostry. W tych nic nieznaczących elementach zwykłego, przyziemnego życia.

Jeszcze inna kobieta, żona mojego terapeuty, uzależniła swoje szczęście od tego, co posiada. Luksusowego samochodu, eleganckiego domu i markowych ubrań.

Z kolei Krystian twierdzi, że jego szczęściem jestem ja.

Jego rozumem najmniej.

Nie był pierwszym, który odpowiedział na moje pytanie w ten sposób. Podobnego sformułowania użył również Robert, mój znajomy z pracy. Siedzieliśmy wtedy w barze – ja, on oraz narzeczona Roberta, Patrycja. Powiedział, że jego szczęściem jest właśnie ona. Wymienili wtedy spojrzenia i uśmiechy, ich palce się splotły.

Chcieli być razem. Spoglądali na siebie tak, jak patrzeć mogą wyłącznie zakochani. Uwierzyłam im.

Tymczasem ja i Krystian nie wymieniamy takich spojrzeń ani gestów. Żyjemy razem, każdego ranka budzę się obok niego, co wieczór zasypiamy w tym samym łóżku. Nierzadko po zbliżeniu.

A jednak nie łączy nas to, co Roberta i Patrycję. Jak zatem mógł powiedzieć, że to ja jestem jego szczęściem? Potrafimy spędzić obok siebie cały dzień, zajęci własnymi sprawami, nie zamieniwszy choćby słowa. Nie czujemy takiej potrzeby. Żadne z nas.

Mimo to trwamy w tym dziwnym związku już dwa lata.

Nie ma sensu ukrywać, że z nas dwojga to on jest mniej atrakcyjny. Przeciętna uroda, jeszcze bardziej przeciętny poziom intelektu. Wedle skali z amerykańskich seriali Krystian zasługuje na ocenę sześć. Naciągana.

Ja, ze swoją sylwetką i długimi, kruczymi włosami, jestem dziesiątką.

Czemu u jego boku?

Mogłabym mieć kogoś ciekawszego. Kogoś przystojniejszego. Kogoś, kto nie para się taksydermią i nie zdobywa okazów do wypchania w sposób nielegalny.

Mogłam mieć kogoś z klasą.

Ale jestem z Krystianem. W dużej mierze dlatego, że nie chcę być sama, a szukanie nowego partnera byłoby frustrujące i pełne nieudanych eksperymentów. Obawiam się, że wśród potencjalnych kandydatów przeważaliby tacy, którzy uznaliby mnie za pustą, głupią lalkę, bo w ich świecie niemożliwym jest, by kobieta o moim wyglądzie (czy też ogólnie jakakolwiek kobieta) miała iloraz inteligencji powyżej siedemdziesięciu. Inni nie zwróciliby uwagi na moją osobowość, widzieliby we mnie wyłącznie trofeum lub byłiby zbyt onieśmieleni i zakompleksieni, by w mojej obecności zbudować choćby jedno sensowne zdanie.

W tym oceanie możliwości bez wątpienia pływają również ciekawsze okazy – atrakcyjne, warte uwagi – ale przesiewanie wszystkich pozostałych stanowiło zadanie, na które nie miałam ochoty.

Tym bardziej, że i tak nigdy nie będę szczęśliwa.

Nie wierzyłam, by miało do tego dojść. Przekonanie o tym towarzyszyło mi, odkąd pamiętam.

Czyli od niecałych trzech lat. Od dnia, kiedy pewien przypadkowy kierowca natknął się na mnie w środku lasu.

Szłam wtedy boso wzdłuż drogi, głodna, zagubiona. W długiej, aksamitnej sukni w barwie czerwonego wina. Na szyi miałam srebrny naszyjnik w kształcie liścia klonu.

Nie wiem, skąd się tam wzięłam. Nie wiem, kim jestem i co spotkało mnie wcześniej. Moja przeszłość jest zagadką.

Wiem tylko, że na imię mi Kamila. I że nigdy nie będę szczęśliwa.

\*\*\*

– Dlaczego w ogóle chcesz tam jechać?

Przewróciłam oczami, ale nie oderwałam spojrzenia od okna. Przemierzaliśmy właśnie gęsty las, a ja obserwowałam zmiany, jakie spowodowała tu panosząca się coraz bardziej jesień. Liście mieniły się odcieniami złota i szkarłatu. Część opadła już na ściółkę, więc z głębi koron wychylały się pazurzaste gałązki, jakby usiłowały rozdrapać płynące po niebie chmury. Białe obłoki nie przesłaniały słońca i jego intensywne promienie sprawiały, że las zdawał się pokryty brokatem.

To resztki porannego deszczu migotały na pożółkłym listowiu. Skrzyły się równie intensywnie, co śnieg w mroźny poranek.

Nie miałam szans na szczęście, ale potrafiłam docenić piękno. Urok przemijania, stałą zmienność natury. W tym umieraniu i odradzaniu się była magia.

Której mój partner nie zauważał.

– Wygląda na intrygujący – odpowiedziałam wreszcie. Jednocześnie przesuwałam palcem po szybie samochodu. Walczyłam z pragnieniem, by wysiąść i wkroczyć w głąb lasu. Dotknąć jesiennych liści, zaciągnąć się słodkim aromatem drzew. – Muszę go odwiedzić.

Burknął coś, ale go nie słuchałam. Powędrowałam myślą do wiekowego budynku, którego fotografie znalazłam w Internecie. Zrujnowanego i opuszczonego, a jednak w jakiś sposób intrygującego.



To zdarzało się już wcześniej. Krystian był do tego poniekąd przyzwyczajony – przynajmniej raz na kilka tygodni odbywaliśmy podobną eskapadę. Wewnętrzny głos nakazywał mi prowadzić poszukiwania, chociaż nie wiedziałam, co pragnę odnaleźć.

Przynajmniej nie konkretnie. Szukałam nieznanego, ale przecież łatwo było zgadnąć, że usiłuję odzyskać własną przeszłość. I czułam w głębi serca, że jej sekret leży w jednym z tych zniszczonych i zapomnianych gmachów, których tak wiele. Były moją pasją pomimo mrocznych wnętrz, brudnych posadzek i spowitych pajęczynami okien. Były moimi drogowskazami.

O Krystianie można powiedzieć wiele przykrych rzeczy, ale jedno musiałam mu oddać: towarzyszył mi podczas wszystkich tych podróży. Nie zawsze tryskał entuzjazmem, ale nigdy się nie spierał. Kiedy natrafiałam na kolejne opuszczone domiszcze, on odwoływał wszystkie swoje plany i zabierał mnie w podróż.

Tak jak dziś.

Mimo to za nim nie przepadałam. Drażniła mnie jego praca i znajomości w schronisku dla zwierząt (skąd czasem przynosił nieoznakowane pudła z wybitymi na bokach dziurami, a potem w wynajętym garażu pojawiały się nowe eksponaty). Drażnił wygląd, zamiłowanie do taniego piwa i reality show. Nie potrafiliśmy znaleźć wspólnego języka, jego zasób słów był żaloszny, a na książki spoglądał jak na oślizgłe ropuchy.

Starałam się nie myśleć o jego przywarach. W ten sposób łatwiej było ignorować powracające pytanie, dlaczego od niego nie odejdę. Żadne argumenty nie uzasadniały naszej relacji.

A jednak czułam, że będę go potrzebować...

– Tutaj. – Wskazałam drogę gruntową po prawej stronie szosy.

Krystian zwolnił, a potem skręcił w głąb lasu. Korony zamknęły się nad nami, wciąż gęste, chociaż pod kołami samochodu szeleściła warstwa opadłych liści.

Jechaliśmy jeszcze kilkanaście minut. W międzyczasie niebo zasnuły chmury, ciężkie i pełne deszczu. Zdziwiłam się nagłą zmianą pogody, lecz nic nie powiedziałam.

Krystian zupełnie nie zwrócił uwagi na ten fenomen.

Dostrzegłam przerzedzenie w linii drzew, a wkrótce na końcu drogi zamajaczył mi fragment budynku.

\*\*\*

Jak to jest nie pamiętać własnej przeszłości...?

Nie byłam dzieckiem. Nie byłam nigdy nastolatką. Nie miałam rodziców, przyjaciół, rodzeństwa. Zdartych kolan, gdy spadałam z drzew. Obitych łokci, kiedy przewracałam się na rowerze. Nie znałam smaku słodkich gruszek, zjadanych prosto z drzewa. Zapachu pieczonego mięsa, kiedy wchodziłam do domu po całym dniu zabawy.

Nie znałam śmiechu.

Wszystkie te rzeczy były nieprawdziwe. Równie nierealne jak szczęście. Mogły dotyczyć innych ludzi, ale nigdy mnie.

Terapeuta, do którego chodziłam po tym, jak znaleziono mnie w tamtym lesie, spytał kiedyś, co pamiętam.

– Nic – odpowiedziałam wówczas. – Tylko swoje imię.

– Nie pytam o wspomnienia – nalegał. – Nie o to, gdzie się urodziłaś i gdzie chodziłaś do szkoły. Sięgnij w głąb serca i powiedz, co czujesz. Jakie emocje towarzyszą ci, gdy myślisz o przeszłości. Zamknij oczy i pozwól sobie czuć.

Posłuchałam go wtedy. Odetchnęłam, przymknęłam powieki i skoncentrowałam się na swoim wnętrzu.

– Głód – odpowiedziałam po długiej chwili. – Fizyczny, ale nie tylko taki. Jest też inny, trudniejszy do opisanie. I pustka. Jakby czegoś mi brakowało.

Bezwiednie dotknęłam dłonią mostka.

– Coś tu było – ciągnęłam. – Miałam coś ważnego, najważniejszego. Chciałam o to walczyć. Nadal powinnam. Ale już go nie ma.

– Pamiętasz jego imię?

Zamrugałam i spojrzałam na niego.

– Pamiętam swoje. Tylko tyle.

Nie naciskał. I nie pytał więcej. Ale ja nie zapomniałam tego uczucia.

Myślałam o tym, co straciłam. Co sprawiało, że moja klatka piersiowa wydawała się zapadnięta, jakby wyrwano z niej fragment ciała.

Pamiętałam też o Głodzie. Wrócił do mnie wtedy i został gdzieś w piersi. Inny niż fizyczna potrzeba, która towarzyszyła mi na co dzień.

Nie lubiłam jeść. Robiłam to regularnie, wiedziałam, że powinnam, ale nie dawało mi to takiej przyjemności, jaką widywałam na twarzach innych ludzi.

Czułam natomiast, że zaspokojenie tamtego Głodu przyniosłoby mi o wiele więcej. Zdawał się intensywniejszy i nie dotyczył wyłącznie pustki w żołądku. Było w tym coś mrocznego i to coś miało kolor krwi.

\*\*\*

Dworzyszcze było piętrowym gmachem z cegły, a mur wokół niego został zniszczony przez czas. Wyszczerbiony i zawałony w kilku miejscach, zmieniony w sterty porośniętych chwastami cegieł, nie bronił dostępu do budowli. Podobnie jak kuta brama, której prawe skrzydło było odgięte.

– O ja – sapnął Krystian i chwycił jeden z prętów. – To wygląda, jakby ktoś to ręcznie zrobił, nie, mała? Tylko przecież nikt by nie miał tyle sił, nie?

Jego głos brzmiał niepokojem, ale go zignorowałam.

Stałam nieruchomo na drodze i spoglądałam na budynek. Serce łomotało mi ze wszystkich sił, gdy przesuwałam wzrokiem po wypełnionych ciemnością oknach. Solidne okiennice przytwierdzono do ścian haczykami i chyba tylko dzięki temu wciąż były na swoim miejscu. Dwuskrzydłowe drzwi wejściowe stały otworem, futrynę wypełniał półmrok. Rzeźbienia ponad nią porosły mchem, podobnie jak szare dachówki. Czerwień cegieł zdawała się wyjątkowo intensywna. Wieżyczka po prawej stronie dworu zakończona była szpicem i wiatrowskazem.

Miał kształt liścia klonu.

Sięgnęłam do dekoltu, by zacisnąć palce na naszyjniku.

Postąpiłam krok do przodu i moje ciało przeszły wibracja. Fascynacja walczyła ze strachem.

– Mała, to miejsce wygląda wyjątkowo ponuro, nie? – odezwał się Krystian. – Może jednak pojedziemy do jakiejś knajpy? Jakiej chcesz.

Pokręciłam głową.

Nie mogłabym stąd odejść. Dworzyszcze mnie przyzywało, śpiewało moje imię. Jego melodia brzmiała wewnątrz mnie, więc tylko ruszyłam przed siebie.

– Serio...? – jęknął mężczyzna, ale posłusznie pomaszerował za mną.

Przekroczyłam próg, przecięłam niewielki korytarzyk i znalazłam się w przestronnym salonie.

Podłogę pokrywał brud. Suche listki, drobiny farby opadłe ze ścian i sufitu, warstwa ziemi, w której zostawiałam ślady.

Po prawej stronie zobaczyłam wiekową biblioteczkę. Wciąż pełną książek, zniszczonych i zapomnianych. Pokrytych grubą warstwą kurzu.

Pomyślałam, że nigdy nie widziałam nic bardziej przygnębiającego.

– Możemy już jechać?

Zamiast odpowiedzieć, poszłam dalej. Przemierzyłam pokój, kuchnię, powędrowałam spojrzeniem w górę klatki schodowej. Spacerowałam od jednego pomieszczenia do drugiego i zupełnie nie zwracałam uwagi na gęstniejący mrok.

– Kamila...

Znieruchomiałam na środku korytarza i spojrzałam na Krystiana. Dostrzegłam prawdziwy strach.

– Chodźmy, proszę.

Zamrugałam. A potem odpowiedziałam:

– Jeszcze nie.

Sapnął i wyrzucił ręce w górę.

– To jak chcesz. Poczekam na zewnątrz.

Odwrócił się, by opuścić dwór.

I w tej chwili zewsząd dobiegł nas łoskot. Huk okiennic, zatrzasujących się gwałtownie, i ciężkich drzwi, które uderzyły z impetem w futrynę. Dźwięki nagle odciętych dróg ucieczki.

Ten hałas odbił się echem w moim umyśle i sprawił, że się otrząsnęłam. Nagle spowiła nas ciemność, a my zostaliśmy uwięzieni.

Krystian zaklął. Poruszył się i po chwili uruchomił latarkę w komórce. Jej wąły promień omiół wnętrze, a potem oddalił się, gdy mężczyzna pomaszerował do wyjścia.

Nie poszłam za nim. Pozostałam na miejscu, drżąca i oszołomiona. Czułam strach, ale nie tylko to.

Sięgnęłam po telefon, włączyłam światło. Jednocześnie zarejestrowałam całkowity brak zasięgu.

Zdawało mi się to na miejscu.

Obróciłam się bezwiednie. Wciąż czułam wezwanie. Niepokój nie zdołał zagłuszyć go całkowicie, a ja nie potrafiłam mu się oprzeć.

Moje podeszwy szurały głośno. Blask latarki musnął zabytkowy obraz na jednej ze ścian, przesunął się po oddartym fragmencie wzorzystej tapety, wyłowił półotwarte drzwi do spiżarni. Po ich drugiej stronie słyszałam pośpieszny tupot niewielkich łapek.

Jęknęłam z bólu, gdy zawadziłam biodrem o jakiś mebel. Komoda?

Przesunęłam promień latarki i dostrzegłam, że na blacie leży podłużny przedmiot.

W tym budynku wszystko przykrywał brud i kurz. Klucz jednak lśnił czystością. Srebrem, które odbiło światło elektryczne. Szeroki uchwyt rzeźbiony był w liście klonu.

Idealnie pasował do mojej dłoni.

Nie zarejestrowałam chwili, gdy zacisnęłam na nim palce. Ale kiedy tylko to zrobiłam, zdał się częścią mnie. Przedłużeniem mojej ręki. Przedłużeniem mojej osoby.

Usłyszałam szybkie kroki i zgasiałam latarkę.

– Kamila? – wołał Krystian. Maszerował przez dom, wyraźnie przerażony. Nie odpowiedziałam, a on mnie nie dostrzegł, chociaż w pewnym momencie blask jego komórki odnalazł moją osobę. Zdjęty trwogą mężczyzna przeoczył to i po chwili znikł w kuchni.

Wtedy się poruszyłam. Ponownie uruchomiłam światło w telefonie i poszłam w stronę, z której czułam wezwanie.

Kim byłam? Co łączyło mnie z tym miejscem?

Z tym kluczem?

Dotarłam na koniec korytarza. Otworzyłam ciężkie drzwi i oświetliłam schody.

Prowadziły w głąb ziemi. Owionął mnie zapach gleby i wilgoci. Cokolwiek było na dole, tkwiło tam od wieków.

I mnie wzywało.

Z oddali słyszałam Krystiana, ale go ignorowałam. Powoli postawiłam stopę na pierwszym stopniu.

Było ich kilkadziesiąt. Prostych i szerokich, z gładkiego jak szkło marmuru. Pokonywałam je jeden po drugim, a wewnątrz mnie szalało tornado. Strach walczył z potrzebą poznania prawdy. Pragnienie ucieczki z wezwaniem, które odbijało się w moim sercu.

Nie potrafiłabym zawrócić.

Schody kończyły się drzwiami. Drewnianymi i – o, tak – rzeźbionymi w liście klonu.

Zamkniętymi.

Wiedziałam, że kiedy je otworzę, nie będzie odwrotu.

Wsunęłam klucz w zamek i przekręciłam.

Uchyliły się z cichym szmerem.

Wewnątrz płonęły lampy naftowe. Ich bladozłota poświata wyławiała z ciemności wnętrza, które musiało być grobowcem. Latarka stała się zbędna.

Przekroczyłam próg z ciężko bijącym sercem, oddech rwał mi się w piersi.

Zobaczyłam dwie trumny. Piękne, lśniące i czyste. Nad każdą wisiał obraz. Olejny portret, bez wątpienia namalowany przed wiekami.

Przełknęłam ślinę, wpatrując się w twarz dziewczyny o czarnych włosach. Błada cera zdawała się porcelanowa, oczy koloru ognistych agatów hipnotyzowały.

Znałam je.

Każdego dnia widywałam je w lustrze.

Drżałam. Nie zauważyłam, kiedy komórka wyslizgnęła się z mojej zeszywniałej dłoni. Podeszłam bliżej, wpatrzona w tę twarz. Tak znajomą.

– Wreszcie jesteś.

Odwróciłam się i odskoczyłam w tył, po moim kręgosłupie przebiegł dreszcz.

Przy drzwiach stał mężczyzna z drugiego portretu. Wysoki i atrakcyjny, z jasnymi włosami i szmaragdowymi oczami. W jego spojrzeniu widziałam tęsknotę i pożądanie.

Przełknęłam ślinę, niezdolna do reakcji. Panika zacisnęła mi gardło, więc tylko potrząsnęłam głową.

Nieznajomy dostrzegł mój strach.

– Zapomniałaś. Tak mi przykro...

– Kim jesteś? – zapytałam, gdy wreszcie odzyskałam głos.

– Nie wyobrażam sobie, ile cię to kosztuje. Pozwól, że ci pomogę.

Ruszył ku mnie z dłońmi rozłożonymi na boki. Sygnalizował brak złych zamiarów, ale jednak...

– Zostaw mnie! – krzyknęłam, cofając się, aż za plecami poczułam chłód ściany.

Mężczyzna westchnął z żalem, ale się nie zatrzymał. Uniósł rękę.

– Zostaw! Krystian! Nie!

Szarpnęłam się i zamierzyłam, by go uderzyć. Odsunął się bez trudu, a sekundę później jego dłoń dotknęła mojej.

I wtedy wszystko wróciło.

Znieruchomiałam, gdy zalały mnie wspomnienia. Moje serce zapłonęło, wewnątrz wypełniło się światłem. Przypomniałam sobie...

...wieczność, którą oboje znaliśmy. Noc, kiedy się poznaliśmy i szcęk żelaza, który temu towarzyszył. Śmierć przyjaciela, który nas połączył.

Stulecia u jego boku.

Przerywane co kilka dekad, gdy głód stawał się nie do zniesienia.

Tylko ja mogłam opuszczać dworzyszcze, tylko dla mnie było to bezpieczne. On potrzebował nocy, by przetrwać. Był związany z ciemnością i z tym miejscem.

I był tą częścią mojej duszy, której od lat mi brakowało.

Wszystko wróciło, gdy nasze dłonie się połączyły. Znieruchomiałam, zahipnotyzowana powracającymi wspomnieniami. Dotarło do mnie, że raz jeszcze go utraciłam i ból przeszył mi serce.



A potem pochylił się ku mnie. Dotyk jego warg sprawił, że znowu byłem sobą. Znowu byłem kompletna.

Oderwaliśmy się od siebie pół godziny później.

– Chodźmy na górę – wyszeptałam. – Musisz być głodny.

Ruszyliśmy po schodach. Nasze dłonie wciąż się splatały, nie odsuwaliśmy się nawet na chwilę.

Znalezienie Krystiana nie zajęło nam dużo czasu. Kulił się na podłodze przy drzwiach wejściowych, bębniąc w nie co jakiś czas dłońmi.

Kiedy widziałam, jak mój ukochany wgryza się w jego szyję, uśmiechnęłam się z czułością.

Intuicja miała rację – ten mężczyzna był mi potrzebny.

Przyłączyłam się do posiłku u boku tego, którego szukałam przez ostatnie lata.

Nareszcie czułam szczęście.



# KRÓTKA LETNIA OPOWIEŚĆ

Paulina Stępień

*Brat*

Lato 1951 roku było inne niż wszystkie, dlatego tak mocno zapadło mi w pamięć. Zaczęło się wolno, ociężale, od niepokojącego, cuchnącego pozimową zgnilizną zaduchu, a potem wybuchło z mocą – złote, pachnące akacją, tłoczne i radosne, kuszące zapowiedzią ciepłych wieczorów i leniwych poranków.

Tego roku nasz ojciec z dnia na dzień opuścił dom i pojechał do dziadków już w maju, bez zbędnych tłumaczeń, pakując tylko podręczną torbę. Matka krążyła nieprzytomnie w pobliżu telefonu zawieszona na ścianie i nader często – nawet jak na nią – wpatrywała się w okno. Parę razy zapytałem, czy stało się coś złego, ale ona zbywała mnie matczynymi pytaniami – czy przeczytałem książkę, czy umyłem ręce, czy może chcę coś do jedzenia. Gdy z całym swoim dziecięcym wówczas przekonaniem oświadczyłem, że odpuszczać nie zamierzam, odparła:

– Dołączymy do taty po zakończeniu semestru, nic się nie martw.

To nie była odpowiedź, której oczekiwałem. Zacząłem więc męczyć Urszulę, bo Urszula była dwa lata starsza i matka już dzieliła się z nią naszymi rodzinnymi sekretami. Nie żywiłem wielkich nadziei, że dowiem się od niej czegoś więcej. Choć kochałem siostrę i tęskniłem za czasami, gdy dogadywaliśmy się bez słów, Urszula dojrzewiała i coraz rzadziej przypominała dawną siebie.

Tego dnia była jednak bardziej skora do rozmowy. Gdy zadałem jej pytanie, stojąc w progu pachnącego wanilią i obwieszona sukienkami pokoju, Urszula oderwała wzrok od książki i wolno wyprostowała plecy, a potem odwróciła się od biurka. Włosy wyplątywały jej się z upięcia, brązowe brwi ściągnęły się ponad nasadą piegowatego nosa.

– Chyba chodzi o Władka – rzekła po cichu.

Wszedłem głębiej do pokoju. Usiadłem na łóżku i zwróciłem się w stronę siostry, a i ona pochyliła się do mnie.

– Słyszałam, jak tata mówił, że Władek przyjechał z Kanady bez bagażu i bez pieniędzy. Podobno pieszo szedł z Gdańska do domu, bo go nie było stać na pociąg. Teraz boją się, że stało się coś złego.

– Co?

– Nie wiem. Może go okradli? – Wzruszyła ramionami. – Dziadek poprosił, żeby tata przyjechał przed wakacjami, a tata pojechał, więc to na pewno nic błahego. Jak myślisz, wróci na apel?

– Na pewno!

Ale ojciec na apel na zakończenie szkoły nie wrócił. Zastąpił go nauczyciel matematyki. Słyszałem, jak matka tłumaczy się przed innymi nauczycielami, że wypadły mu „ważne sprawy rodzinne”, jednak kiedy ostatnim razem historyk użył tej wymówki, okazało się, że jego żona umierała na ciężką chorobę. Podśluchałem, jak rodzice rozmawiali o tym w kuchni.

– Czy Władek umiera? – spytałem więc matkę, kiedy po zakończeniu szkoły jechaliśmy pociągiem do dziadków.

Matka gwałtownie pokręciła głową.

– Nie! Dobry Boże. Z Władkiem wszystko w porządku, jestem pewna.

Widziałem spojrzenie Urszuli, którego nie mogła dostrzec siedząca obok niej matka – oczy przeświecone skaczącym, letnim słońcem, pełne trwogi i niepokoju, wpatrujące się we mnie bardzo intensywnie.

Zawsze zdawało mi się, że Władek jest naszym wujem, bratem ojca, ale matka wytłumaczyła nam ostatnio – swoim łagodnym, ostrożnym głosem, na dźwięk którego robiło mi się głupio, odkąd tym samym tonem próbowała wyjaśnić mi, że dziewczynki są inaczej zbudowane niż chłopcy – że Władysław w istocie jest siostrzeńcem ojca. Ciotka urodziła go bardzo młodo i nie była w stanie podołać jego wychowaniu, dlatego prawnie stał się synem swych dziadków.

Władek imponował mi. Chciałem na jego wzór mieszkać w domku nad jeziorem, z dziadkami, którzy byli za starzy, by przejmować się, czy wrócę do domu po szkole i czy będę nocował we własnym łóżku. Choć wszyscy mówili, że Władysław to hultaj, cwaniak i nieuk, ja podziwiałem jego umiejętność bycia w centrum uwagi, głośny śmiech, bez troskę, która była większa nawet aniżeli moja własna, dziecięca. Zresztą Władek nie był wcale taki

zły i nikt tak naprawdę nigdy go nie krytykował, to było tylko dla śmiechu, dla narzekania przy rodzinnym stole, nigdy za plecami Władka. On sam śmiał się z tego i powtarzał, że za to go właśnie kochają.

Władek potrafił przepłynąć całe jezioro wpraw, uczył mnie i Urszulę jeździć na rowerze, wspinał się na stodołę, by chodzić po szczycie jej dachu i zabierał nas do stadniny, a potem jeździł konno na oklep, bo właściciele mieli do niego słabość. Władek w wakacje wracał w środku nocy po tańcach, popijał wódkę za domem, wymieniał z ojcem nieprzystojne żarciki i jeździł z nim rowerami „na podryw”, co zawsze bardzo bawiło matkę. Nawet największego ponuraka potrafił rozbawić.

Ostatnie wakacje zakończyliśmy hucznym przyjęciem pożegnalnym z okazji jego wyjazdu. Oświadczył się swojej ukochanej Józefinie, młodsiutkiej studentce, która dla niego rzuciła szkołę i zgodziła się towarzyszyć mu w podróży dookoła świata. Swoją wyprawę mieli rozpocząć od krajów Europy Zachodniej, a potem przepłynąć ocean, pomieszkać przez chwilę w Kanadzie i stamtąd przepłynąć do Azji – nie miałem pojęcia, gdzie są te miejsca, ale brzmiały bardzo egzotycznie. Nie wiedziałem też wówczas, że zorganizowanie takiej wyprawy musiało być piekielnie trudne, ale najwyraźniej dla Władka nie było rzeczy niemożliwych.

Zakochani nie planowali zabrać ze sobą zbyt wielu pieniędzy, bo zwyczajnie ich nie posiadali. Ten wyjazd miał być ostatecznym dowodem, że są dla siebie całym światem, a cały świat nie może się równać temu, co jest pomiędzy nimi – i że nie istnieje na świecie nic, co mogłoby stanąć na drodze ich miłości.

Zapamiętałem, że tamtego wieczora ojciec z Władkiem tak się spili, że pospadali z krzeseł, a na drugi dzień dogorywali przy śniadaniu i byli zieloni na twarzach. Kiedyśmy się żegnaliśmy z Władkiem, ten obiecał, że przywiezie nam mnóstwo prezentów.

– Urośnij trochę, jak mnie nie będzie, dobrze? – zwrócił się do mnie. – Jak wrócę, to pogramy w piłkę.

Jednego upalnego dnia tego wyjątkowego lata siedziałem w kuchni i spoglądałem w stronę szczeliny między framugą a drzwiami pokoju Władka.

Był w środku. Leżał na łóżku ustawionym przy drzwiach – widziałem kawałek poduszki i zabłąkany ciemny lok, a tuż pod nim opatrunek na ucho i bandaż obwiązany wokół głowy, który go podtrzymywał.

Przypomniałem sobie wówczas tę obietnicę. Podeszedłem do drzwi i niepewnie oparłem się o framugę. Władek leżał na łóżku, ale nie spał, oczy miał otwarte. W dłoni trzymał album ze zdjęciami, ale go nie przeglądał, wpatrywał się tylko w sufit.

– Wujek?

Uniósł głowę znad poduszki i spojrzał na mnie.

– Obiecałeś, że zagramy w piłkę – rzekłem.

Chłopak przez moment patrzył na mnie tak, jakbym przemawiał do niego w obcym języku. Po chwili oprzytomniał. Jego oczy zrobiły się nieznacznie większe.

– Innym razem, dobra?

– Obiecałeś.

– Innym razem – odpowiedział i położył się z powrotem, a potem przekręcił się na bok i otworzył album.

### *Siostra*

Lato 1951 roku było inne niż wszystkie. Rok wcześniej byłam dzieckiem i ganiałam z dziećmi po wsi, zachlapana błotem aż do kolan i z potarganymi włosami, z których matka musiała wycinać kołtuny. Tego roku już co miesiąc – prawie co miesiąc – krwawiłam, a krew mąciła mi w głowie bólem i słodyczą podniecającej obietnicy romansów, namiętności i udręk. Nie myślałam już o zabawie, bo zabawa nudziła mnie i zniechęcała, choć jeszcze kiedyś miałam za nią zatęsknić. Miałam za nią zatęsknić, gdy przeżyję już wszystkie swoje romanse, namiętności i udręki, gdy zmęcę się konsekwencjami i zapragnę dziecięcej beztroski.

Ale wtedy nie tęskniłam.

Poranek był ciepły, cichy i słoneczny. Słyszałam buczenie owadów dobiegające z wysokich traw przy płocie. Siedzieli razem przy stoliku w ogrodzie – brat mój Szymon pił sok, a Władek udawał, że je śniadanie. Babcia przesuwiała się wolno wzdłuż płotu, rwąc chwasty. Słyszałam śmiech rodziców dobiegający z kuchni; próbowali zrobić bezę z truskawkami, na którą przepis matka dojrzała w książce kucharskiej otrzymanej od babci w prezencie ślubnym.

Władysław dryfował gdzieś myślami, maczając rozmiękły kawałek chleba w plamie musztardy.

– Wujek – odezwał się Szymon, gdy cisza zrobiła się nieznośna.

Obserwowałam, jak chłopak bardzo wolno wraca do rzeczywistości. Spojrzał na Szymona znad talerza, a jego spojrzenie było dziwne i wciąż nieobecne.



– Będziesz jadł tę kanapkę? – spytał Szymon.

Chodziło mu o drugą, nienaruszoną połowę kanapki, spoczywającą na talerzu poza zasięgiem musztardy, ale Władek odłożył swoją część obok i przesunął talerz po stoliku w jego stronę.

– Smacznego – rzucił.

Pomyślałam sobie, że jeśli nie podjadał żadnych ciastek w pokoju, to właśnie mijały dwa dni od jego ostatniego posiłku, nie odezwałam się jednak.

Zamyślenie i izolowanie się Władka w sypialni wywoływały we mnie bardzo dziwne uczucia. Wcześniej był nieciekawym, zwykłym, zbyt wesołym, głośnym i otwartym. Nie miał w sobie obiecującej tajemnicy, zwiastunki niezwykłości i wyjątkowości. Ale i ja tego roku byłam inna.

Wcześniej usta miałam suche po ganiu z podlotkami, a tego roku były lepkie od szminki skradzionej matce. Nakładałam ją starannie przy zakurzonej lusterku w sypialni dziadków. Starłam się pachnieć kobieco, perfumami, które dostałam od ojca. Pierwszy raz z namysłem wybierałam sukienki i bluzki, w których widać było, że moja dziecięca sylwetka zniknęła, a zastąpiła ją figura młodej kobiety. Nie sądziłam, że kobiecość smakuje tak słodko, że dociera tak głęboko, aż do samych trzewi, że cieszy tak długo, mocno, jak niegdyś nowy zestaw puzzli albo maskotka otrzymana od ojca.

Z zażenowaniem patrzyłam na swoje dawne koleżanki, które bawiły się w podchody i zwierzały się sobie, że zawędrowały aż do szosy bez zgody rodziców.

Tego roku miałam nową tajemnicę – Władysława. I nikomu nigdy nie powiedziałam, że tylko taki – smutny, zamyślony, udęczony jakimś sekretem – był dla mnie lepszy niż radosny jak dawniej. Że jego ból wywoływał we mnie dziwne, niezrozumiałe podniecenie. Że chciałam widywać go jeszcze smutniejszego, jeszcze bardziej zdesperowanego, jeszcze bardziej zamkniętego w sobie. Nikt się nie dowiedział, że patrzyłam za nim, kiedy odchodził gdzieś połą drogą albo krążył nad brzegiem jeziora. Chciałam zobaczyć, jak do niego wchodzi. Jak idzie dalej, jeszcze dalej, aż zielonkawa toń sięga do jego podbródka, zamyka się ponad jego głową. Wtedy rzuciłabym się w jego stronę i uratowała go, a on po raz pierwszy dostrzegłby, że nie jestem już dzieckiem i podzielilibyśmy się ze sobą swoimi sekretami, zwierzylibyśmy się sobie, zaprzyjaźnilibyśmy się, nawiązalibyśmy relację jak z powieści – na zawsze, na wieczność.

Nie spaliśmy jeszcze, kiedy spokój nocy zburzył cichy głos ojca. Spojrzałam na Szymona, a on w pośpiechu zgasił latarkę, przy której czytał książkę, wstał z łóżka i na paluszkach podszedł do rozwartego na oścież okna. Dołączyłam do niego, gdy ojciec znów się odezwał. W absolutnej ciemności ogrodu widać było tylko żar jego papierosa, który unosił się w mroku jak zabłąkany świetlik.

Na zewnątrz rozbrzmiewała melodia nocy – świerszcze, rechot żab, nawoływanie nocnych ptaków, ale nawet pomimo tego słyszeliśmy głos ojca przesycony desperacją i gniewem, na dźwięk którego poczuliśmy się nieswojo. To był głos pełen rozczarowania. Taki, którego używał, by powiedzieć, jak bardzo zawiódł się naszym zachowaniem, złą oceną, wybrykiem.

– Proszę cię, Władek, powiedz w końcu, co się wydarzyło. Rodzice odchodzą od zmysłów. Matka ma chore serce. Chcesz ją mieć na sumieniu?

– Nic się nie stało – naszych uszu dobiegł zmęczony głos Władka.

– Oczywiście. Dalej rób z nas wszystkich głupców! Nic nie jesz, nie sypiasz, widzimy wszyscy, żeś jest chory. Dlaczego nie możesz opowiedzieć, co się stało?

Przez okno wpadł chłodny wiatr, a moje ramiona pokryły się gęsią skórką. W jego słowach było coś, co przejęło mnie do głębi: nic się nie stało. Czy ja potrafiłabym tak powiedzieć? Nie, wiem to doskonale. Pragnęłam uwagi rodziców, chciałam, by się o mnie martwili. Chciałam wykrzyczeć swój gniew, żal, chciałam, żeby wiedzieli, jak bardzo mnie drażni bycie córką dyrektora i nauczycielki w jedynej okolicznej szkole, jak nienawidziłam, kiedy inni milkli, gdy się pojawiałam w klasie.

Nic się nie stało. Czy te słowa zabrzmiały głośniejsz od krzyku? Czy działały skuteczniej?

Ojciec złościł się, miotał. Tak, efekt został osiągnięty – był wściekły, zmartwiony, coś do niego docierało. Jak mogło mi to nie przyjść nigdy do głowy? Nic się nie stało. Po co miałam mówić do niego godzinami, skoro nigdy nie słuchał? Wystarczyło to proste zdanie, żeby wyczytał sobie wszystko sam.

Któregoś dnia zobaczyłam, jak Władek wchodzi do szopy. Poszłam za nim, ale nie weszłam do środka – przystanęłam w stosownej odległości, schyliłam się, by pogłaskać kota wygrzewającego się na słońcu. Przez szczelinę w ciężkich odrzwiach widziałam, jak Władek stał i przyglądał się belkom na suficie.

Był dobrze zbudowany, szeroki w barkach, a jednak przytłaczało go coś niewidzialnego, jakaś nieznana siła, wobec której był zupełnie bezradny, przed którą drżał jak mały chłopiec.

Zarzuć sznur, pomyślałam nie wiedzieć czemu, zarzuć go, żebym cię mogła uratować. Porozmawiaj ze mną. Zwierz mi się. Zauważ mnie w końcu.

Ale Władysław nie zarzucił sznura na belkę. Wyszedł z szopy, nie poświęcając mi nawet jednego spojrzenia.

Trwało kameralne przyjęcie w ogrodzie. Tylko rodzina i sąsiedzi, nikt więcej. Mama krążyła od kuchni do ogrodu i od stołu do paleniska, a tata wykładał mięso na ruszcie.

Był wieczór. Niebo przybrało odcienie fioleto i różu, a od ziemi ciągnęło chłodem. Wilgotne od wieczornej rosy źdźbła trawy muskały moje kostki. Dziadek i sąsiad narzekali, jak to zwykle starsi panowie przy butelce wiśniówki. Ażurowy kapelusz sąsiada był kiedyś biały, ale zżółkł i wyglądał jak gigantyczna pieczarka na jego małej, starej głowie.

Szymon próbował skupić na sobie uwagę Władka. Obserwowałam ich zza stołu i pierwszy raz nie nudziłam się na tego rodzaju spotkaniu. Władysław nie reagował na zaczepki młodego, był zmęczony, pod jego oczami widziałam ciemne półksiężyce. Dzielił przypieczoną kromkę chleba palcami na kawałeczki, jakby ją szykował do rzucenia ptakom.

Po raz pierwszy od naszego przyjazdu zdjął opatrunek z ucha i ze zdziwieniem odkryłam, że zamiast mażowiny miał przy skroni wielką, zasklepiającą się ranę.

Nikt nie zapytał o jego ucho ani o tajemniczą Józefinę, o której słyszałam tylko z opowieści. Wyobrażałam ją sobie jako piękną, smukłą i wysoką kobietę o śniadej karnacji i długich, gęstych, czarnych włosach. Widziałam jego palce w tych włosach i widziałam jego usta całujące jej miękkie policzki. A gdy zorientowałam się, że moje myśli dryfują w niebezpieczne rejony, poczerwieniałam i opuściłam wzrok.

Babcia prosiła Władka, by zjadł pieczonego kurczaka, którego ojciec zdjął z rusztu. Widząc jego nieudolne próby ucieczki, dziadek w nerwach zarządził, że już koniec uzalania się, że dla niego wakacje dobiegły właśnie końca. Atmosfera przy stole zgęstniała, sąsiad zanurzył usta w kieliszku wiśniówki, ja i Szymon opuściliśmy pokornie głowy, a rodzice i babcia z niepokojem obserwowali dziadka, który jął wykrzykiwać wszystkie żale, stojąc sztywno nad skurczonym na krześle Władysławem. W pewnym momencie odkroił słuszną porcję kurczaka i wrzucił mu ją na pusty talerz z głuchym plaśnięciem, które nawet mi wydało się wyjątkowo obrzydliwe.

Władek spojrział na zwisającą skórę kurczaka oklejoną tłuszczem, na białe mięso i widoczną na nim granatową żyłkę. Później uniósł zboląły wzrok i popatrzył na dziadka.

– Jedz – rzekł dziadek, chwytając go za kark jak nieposłusznego szczeniaka.

Chłopak sięgnął niepewnie po sztucce, przez moment obracał je w rękach, w końcu odłożył obok talerza i – podtrzymywany wciąż przez dziadka – oderwał kawałek mięsa palcami. Wszyscy obserwowaliśmy w skupieniu, jak unosi mięso do ust. W tamtej chwili w naszym ogrodzie było tak cicho, że dało się słyszeć każdy najcichszy szelest skrzydeł owada przeciskającego się przez źdźbła trawy. Tak mocno skoncentrowaliśmy się na Władysławie, że każdy z nas mimowolnie pochylił się w jego stronę, by lepiej widzieć biały kawałek mięsa znikający w jego ustach.

Już prawie włożył mięso do ust, gdy wtem szarpnął nim jakiś niezrozumiały spazm, a pomiędzy jego warg trysnęła struga żółci, która wylądowała na butach dziadka.

### *Brat*

Tamtego lata zdarzyło się wiele podobnych rzeczy, ale nie były one tak ważne, jak to, co tylko mnie udało się zobaczyć pod koniec wakacji, w przeddzień naszego wyjazdu.

Przez całe lato Władek zachowywał się jak lunatyk. Dziadkowie załamywali ręce, ojciec odchodził od zmysłów, a matka modliła się tak gorliwie, że niemal wytarła lakier z paciorków różańca. Po zdarzeniu podczas przyjęcia w ogrodzie Władek zamknął się w swoim pokoju i rzadko z niego wychodził, przez całe dni skrobiąc coś piórem na kartkach papieru. W nocy często słyszałem, jak wymiotuje, choć nie sądziłem, by miał czym wymiotować, bo jego porcje pozostawiane pod drzwiami zamkniętego pokoju zawsze pozostawały nietknięte. Fasolka i ziemniaki niemal codziennie patrzyły na mnie smutno z podłogi, wysuszone i pomarszczone, gdy szedłem pobiegać po szosie albo pojeździć na rowerze.

Zwykle sypiałem dość mocno i nie wiem, co sprawiło, że w przeddzień naszego wyjazdu zbudziłem się ze snu. Ta noc była wyjątkowo ciepła, chciało mi się pić, poza tym Urszula tak intensywnie skropiła się perfumami od ojca, że ledwie wytrzymałem w naszym małym, dusznym pokoju. Udałem się po szklankę wody, jednak gwałtownie zatrzymałem się w progu kuchni i niemal upadłem, rażony strachem, gdy zobaczyłem to, co w niej na mnie czekało.

Tego dnia dziadek urządził z sąsiadami świniobicie. Babcia o zmierzchu popakowała surowe mięso do worków, by nazajutrz zająć się jego oporządzeniem. Obserwowałem te

krwawe kawałki polędwicy, powypychane jelita, podgardle i mózdzek rozrzucone między szeroko rozstawionymi nogami Władysława, który niemal całkiem nagi siedział na podłodze i wgryzał się w surową golonkę. Chłopak uniósł wzrok, a jego twarz wolno wyłoniła się zza kurtyny posklejanych, nieczesanych od tygodni włosów. Na jego podbródku w świetle lodówki lśniły tłuste smugi, a z ust nadal sterczał kawałek zmarszczonej skóry, który utknął mu między zębami.

Twarz Władysława skrzywiła się w grymasie nieopisanej rozpacz.

– Nie dość – wymamrotał głosem, którego nie pojmowałem i do dziś nie potrafię go stosownie opisać. – Nigdy dość...

Nie wiem, dlaczego w tamtej chwili odwróciłem się na pięcie i czym prędzej wróciłem do pokoju. Wydawało mi się, że dlatego, że byłem jeszcze zbyt mały, by wiedzieć, jak zareagować. Teraz jednak – już jako dorosły człowiek – jestem pewien, że postąpiłbym dokładnie tak samo. Ludzie często czytają książki i zastanawiają się, dlaczego bohater zachowuje się głupio i nierozsądnie, dlaczego nie reaguje na straszliwe pułapki losu, jakie zastawia na niego okrutny autor powieści. Tym samym ludziom nigdy jednak nie przyszło zobaczyć swojego kuzyna półnagiego na podłodze w kuchni, pożerającego surowe mięso w potwornym, nieludzkim amoku.

Następnego dnia wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, więc próbowałem wmówić sobie, że to był tylko zły sen. Oczywiście, latem 1951 roku zbyt dużo myślałem o Władku, leżał mi na sercu, dlatego mógłby mi się przyśnić.

Jednak nim wyjechaliśmy, babcia powiedziała nam, że nie może znaleźć golonki, choć jest pewna, że schowała ją poprzedniego dnia i tym samym rozwiała wszystkie moje złudzenia.

Ostatni raz Władysława widziałem przez szybę samochodu, w dzień naszego wyjazdu. Nie wyszedł, by się z nami pożegnać, przystanął tylko w oknie w swoim pokoju i obserwował, jak znikaliśmy na końcu drogi. Gdy ojciec wjechał w zakręt, z niesamowitą mocą uderzyła we mnie myśl, że widzę go po raz ostatni – rzecz jasna, nie myliłem się. Był wtedy chudy, chudy na swój dziwny, kanciasty sposób, nie jak szczupła osoba, lecz jak zagłodzony pies; włosy sterczały mu wokół głowy, a ubrania, które miał na sobie, były wprost obscenicznie za duże. Przez cały czas miałem wrażenie, że wygląda jak zjawa, jednak gdy odwróciłem się ostatni raz, przyszło mi do głowy co innego – nie wyglądał jak duch, tylko jak trup.

Żal mi tylko, że nie potrafię go pamiętać przez pryzmat wszystkich poprzedzających ten rok lat. Nie umiem przywołać w pamięci jego uśmiechniętej, pełnej życia twarzy. Nie potrafię przypomnieć sobie, jak brzmiał jego śmiech, wiem tylko, że śmiał się – że śmiał się często i dziko, szczerze jak nikt inny. Wszystko to, co opowiedziałem o Władysławie na początku tej opowieści – wycieczki rowerowe, jazda konna, wspinanie się na dachy, zabawy z ojcem – było jedynie odtworzeniem tego, co opowiadali mi rodzice. Gdy jednak zwróciłem się w tej sprawie do Urszuli, pytając, co pamięta o Władku, ta również wspomniała lato 1951 roku. Nie przyznałem się jej, że ja pamiętam jedynie ten grymas rozpaczy, który rozciągał jego śliską od świńskiego tłuszczu i krwi twarz.

*Nie dość.*

Władysław zaginął w połowie września 1951 roku. Ojciec wrócił na wieś, by wraz z rodzicami wziąć udział w poszukiwaniach. Straszne to były noce, podczas których nasza matka płakała, chwytając się kurczowo słuchawki telefonu, jakby lada chwila miała odebrać to jedno, najważniejsze połączenie, które nigdy jednak nie przyszło.

Słuch po nim zaginął i nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się stało po tym, jak Władek pewnej nocy po raz ostatni wyszedł z domu, z nikim się nie żegnając. Nie dowiedzieliśmy się pewnie też wielu innych rzeczy, bo skoro ja przez całe życie milczałem na temat incydentu w kuchni, pewien jestem, że i inni członkowie rodziny pochowali wiele różnych sekretów w szufladach pamięci.

Pięć lat po zaginięciu Władysława dziadek został aresztowany i stał się więźniem politycznym, a ówczesny rząd zdecydował, że ojciec nie jest właściwym człowiekiem do pełnienia roli dyrektora szkoły. Oberwało się także matce, która jako jego żona szybko straciła pracę w szkole i przyjęła się w zakładach masarskich. Babcia zamieszkała z nami, a dom na wsi zaczął popadać w ruinę. Ojciec jeździł tam od czasu do czasu i wtedy na nas spadał obowiązek zajmowania się babcią.

Ona z kolei nigdy nie przeboleła zaginięcia swojego najmłodszego „synka”. Przez cały ten czas miała nadzieję, że pojechał do Józefiny, gdziekolwiek by nie była, że znów podbił jej serce i razem wybrali się w podróż dookoła świata, którą poprzednim razem przerwała im jakaś sprzeczka. Wyjaśnienie mogło być przecież tak proste! Być może wyjechał do Kanady, zmienił nazwisko, wziął swoją ukochaną za żonę i wraz z dziećmi każdego dnia oglądał słońce chowające się za górami, podczas gdy my odchodziliśmy od zmysłów, zastanawiając się, co się z nim stało.



Podświadomie czułem jednak, że to niemożliwe. Władysław nie wyjechał i nie rozpoczął nowego życia, ponieważ kiedy widziałem go ostatnim razem, był już martwy.

Dziadek zmarł w więzieniu, o czym dowiedzieliśmy się dopiero pół roku później. W tym czasie odeszła także nasza babcia. Na łożu śmierci mówiła tylko o Władku i o listach, które do niego przysły po zaginięciu. Nie wyjawiała nam jednak, jakie to były listy, kto był ich adresatem i co z nimi zrobiła.

Temat listów nie dawał mi spokoju przez długie lata. W końcu zdecydowałem się wrócić do przeszłości i rozwiązać tę zagadkę, by raz na zawsze dać temu spokój i móc zacząć żyć własnym życiem. Miałem już wtedy na oku całkiem miłą dziewczynę, której zamierzałem wręczyć pierścionek na Święta Bożego Narodzenia, by uczcić naszą miłość. Nie mogłem jednak wkroczyć na nową drogę życia z rozgrzebaną sprawą żywego trupa, która wciąż ciążyła mi na sumieniu.

Dlatego latem 1962 roku pojechałem do siostry i poprosiłem ją, by towarzyszyła mi w wyprawie do zrujnowanego rodzinnego domu. Klucz zdobyłem od ojca, którego przekonałem niezbitym argumentem – w domu dziadków wciąż były wszystkie rodzinne albumy. Chciałem je pokazać swojej przyszłej narzeczonej, by lepiej zapoznać ją z historią mojej rodziny.

Urszula była wtedy w drugiej ciąży. Mąż jej, człowiek poważny i nerwowy, nie chciał, by opuszczała dom na chwilę przed rozwiązaniem, jednak w niej wciąż buzował ten sam nastoletni temperament, który podsyciły tylko ciążowe hormony. Zostawiła dziecko u rodziców swojego małżonka, wyposażyła się w całe naręcze czekoladek i wsiadła do mojego mokrego, ciasnego samochodu. Przez całą drogę drzemała. Gdy dojeżdżaliśmy na miejsce, przyznała mi się, że przez wszystkie te lata nieustannie myślała o Władku i że prawdopodobnie był jej pierwszą miłością.

### *Siostra*

Zgodziłam się towarzyszyć mojemu bratu, ponieważ myśl o listach wspomnianych przez babcie nie dawała mi spokoju. Co więcej, byłam pewna, że on sam nigdy ich nie odnajdzie. Mężczyźni nie znali sekretnych kryjówek, z których korzystały kobiety w naszej rodzinie. Nie wiedzieli, gdzie chowałyśmy wszystkie wymieniane między sobą liściki ze zwierzeniami, zdjęcia naszych ukochanych i pierwsze kosmyki włosów naszych dzieci

(w tym przypadku kosmyki włosów moich i mamy, bowiem ja po narodzinach dziecka nie odwiedziłam już domu dziadków).

Jednak gdy tylko postawiłam stopę za progiem domu, momentalnie pożałowałam tego wyjazdu. Sam dom stał się straszliwą jakąś ruiną. Nikt nie zdecydował się wyłamać zamka, by go obrabować, a to wszystko dzięki czujnym sąsiadom, jednak to na niewiele się zdało, bo budynek znajdował się w opłakanym stanie. Ogródek, w którym bawiliśmy się jako dzieci, okazał się zarośnięty i zamieniony w błotne bajoro, dach prawie się zawalił, a ściany były tak brudne, że ledwo dało się dostrzec ich dawny jasny kolor, tak starannie wybrany niegdyś przez dziadka.

Szymon czuł chyba taki sam żal jak ja, zdradzał go wyraz twarzy, nie wspomniał jednak ani słowem o stanie, w jakim znajdował się dom. Zażartował tylko:

– Trochę tu zimno, co?

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami. Zimno nie robiło na mnie wrażenia, bo przez ciężę nieustannie cierpiałam na uderzenia gorąca, a poruszanie się sprawiało mi trud na miarę biegu przełajowego.

W domu wszystko było posprzątane i poukładane ręką świętej pamięci babci, co tylko podsyciło mój żal i sentyment. Nie mogłam patrzeć na kałużę wody zbierającą się pod połamaną szafką, w której nadal leżały wyprane niegdyś, wyprasowane i starannie złożone ręczniki – teraz już przesiąknięte smrodem stęchlizny. Na regałach z książkami znalazłam równiutko poustawiane bajki dla dzieci, które znaleźmy z bratem chyba na pamięć; przesunęłam palcem po ich grzbietach, zbierając z nich pleśń.

Szymon snuł się za mną jak duch, obserwując, jak napawam się widokiem wyczyszczonych niegdyś na blask, teraz zakurzonych talerzy poustawianych na zlewozmywaku, wyschniętych na kamień gąbek w rynienkach przy zlewie, pościeli ułożonych równo na łóżkach i przykrytych kolorowymi kapami, które nasiąkły deszczem sączącym się przez dach i sufit. Weszłam także na górę, do naszego dawnego pokoju, choć wspinanie się po schodach nie przyszło mi z łatwością i na pewno nie było bezpieczne. Przysiadłam przy oknie, a brat usiadł obok mnie, na swoim miejscu przy łóżku, i oboje zwróciliśmy wzrok na zdziczały ogród naszych dziecięcych dni.

Po chwili spojrzeliśmy na siebie i wymieniliśmy blade uśmiechy, a deszcz uderzający o szyby odbił się cieniem na naszych skrytych w półmroku twarzach.

– Nigdy nie zapytałem, czy jesteś szczęśliwa – odezwał się.

Gdy patrzyłam na tego dorosłego, przystojnego mężczyznę o jasnych włosach i dobrotliwych oczach, wciąż widziałam w nim swojego małego, kapryśnego braciszka. Z rozczuleniem dotknęłam jego łokcia wspartego o parapet.

– Spytaj mnie o to, kiedy przestanie mi być tak potwornie gorąco, nie będzie mi się chciało nieustannie sikać i nie będę myśleć na okrągło o czekoladzie, która topi się właśnie w twoim samochodzie.

Szymon roześmiał się i pokręcił głową.

– Znajdźmy te listy. Zabierzemy je do „Trzech Świnek” i zjemy tam coś gorącego, a ty skorzystasz z normalnej łazienki.

– Poczekaj, Szymon.

Brat spojrział na mnie z uwagą. Przez moment milczałam, nasłuchując, jak coś skrzypi na strychu. Później oboje popatrzyliśmy w górę, na pokryty grzybem sufit.

– Myślisz, że mógł tu wrócić? – spytał mój brat, a ja poczułam zimny dreszcz wspinający mi się po kręgosłupie.

Wizja była absurdalna, ale wcale nie tak niemożliwa. Miał przecież swoje klucze, gdy opuszczał dom.

Listy – tak, jak przypuszczałam – były schowane nad szafkami kuchennymi, w metalowej puszcze po ciasteczkach z cukrem, między kosmykami włosów, listami wymienianymi między kobietami z naszej rodziny, starymi medalikami i nieśmiertelnikami naszych pradziadków. Babcia obwiązała cały plik nieotwartych kopert czerwoną gumką, przez co zwinęły się nieco, a ponadto zwilgotniały od powietrza, którym przez lata naszej nieobecności napełnił się dom.

Schowałam listy do małej, skórzanej torebki, której pasek przeciągnęłam sobie przez kark i zaproponowałam Szymonowi spacer do restauracji, bowiem w czasie naszych oględzin deszcz zelżał, a zza skłębionych chmur wyjrzało ładne, zwiastujące ciepło słońce.

– Muszę rozprostować nogi – wyjaśniłam.

Na samą myśl o tym, że miałabym znów wsiąść do jego ciasnego samochodu, robiło mi się niedobrze.

Szliśmy tą samą ścieżką, którą biegaliśmy nad jezioro jako dzieci. Asfalt popękał już gdzieś tam, a w pęknięciach na całego rosły chwasty i mlecze. Gdy mżawka ustała, powietrze zaraz napełniło się zapachem wilgotnego betonu i zrobiło się duszne w ten charakterystyczny, wiejski sposób, przesiąkając wonią ziół, kwiatów i igliwia.

Widziałam, że Szymon intensywnie nad czymś myśli. Gdy na mnie spojrzał, był wyraźnie zdziwiony, że go obserwuję, speszył się nawet nieco.

– Rozmyślałeś o swojej przyszłej narzeczonej? – spytałam. – Przedstawisz mi ją w końcu? Jestem ciekawa, kto skradł serce mojego wiecznie bujającego w obłokach brata.

– Nie – odparł jednak stanowczo. – Nie chodzi o Wandę. Myślałem o Władku.

– Ciągle o nim myślimy – przyznałam.

– Czy... wiesz może coś, o czym nigdy nikomu nie powiedziałaś?

Podczas tego spaceru opowiedział mi o incydencie w kuchni – o Władysławie, surowym mięsie i dziwnych słowach wypowiedzianych w nieludzkim amoku. Widziałam, jak ciężar powoli spada z jego barków i zastanawiałam się, czy podobnie wyglądał nasz dziadek, gdy na przesłuchaniach w areszcie podawał nazwiska swoich popleczników. Szymon wyglądał bowiem tak, jakby czuł, że Władka zdradził – że wyjawiał jego największy sekret, który ten mu niegdyś powierzył. Zapewniłam go więc, że nie zrobił nic złego, trzymając to przed nami w sekrecie, że w żaden sposób nie przyczynił się do jego zaginięcia.

Ja sama zdradziłam mu, że w ostatnich dniach życia babci usłyszałam od niej historię, o której nikomu nie powiedziałam, choć wcale mnie o to nie prosiła. Gdy już dogorywała, mówiła jedynie o Władku. Przez sen wzywała jego imię, a na jawie wpatrywała się w jego wytarte już i popękane zdjęcie, płacząc nad okrutnym losem swojego zaginionego „synka”. Jednego razu zapytałam – przyznam, że w złości – czy my, żywi, liczymy się dla niej mniej niż jeden zaginiony i najpewniej martwy wnuk. Babcia, chwytając mnie za łokieć, odparła:

– Wy sobie poradzicie. Wam Bóg siłą błogosławił, zdrowicie i uświęceni, w chrzcie z was grzechy zmyto i oto kroczyście ścieżką Pana. Gdy nam Władysława jego rodzona matka zostawiała, w swoich ostatnich słowach rzekła: „niech go piekło pochłonie!” – poruszyła skostniałą ze starości ręką w przypiływie złości, łzy jej napłynęły do oczu – a słowa mają moc, moja droga, słowa mają potężną moc! Takiej klątwy nawet chrzest nie zmyje... Wydała swoje własne dziecko na pastwę różnej maści demonów niby robaka nabitego na haczyk od wędki. W nim coś zamieszkało, Urszulko. Coś strasznego, nad czym nie miał kontroli. Patrzyłam, jak obumiera w nim ostatnia iskra człowieczeństwa i nie zrobiłam nic... Nic. Bo mnie jakiś strach potężny objął we władanie – mówiąc to, rozplakała się tak, że nie mogłam jej uspokoić.

Szymon nie raczył skomentować moich słów. Dotarliśmy do „Trzech Świnek”, pochwaliliśmy remont, który właściciele przeprowadzili podczas naszej nieobecności, porozmawialiśmy też chwilę o moim dwuletnim synu, okazało się bowiem, że córka

właścicieli ma dziecko w podobnym wieku. Szymon nudził się przy tym potwornie i marudził jak za starych czasów, nie zwlekając więc, zamówiłam dla nas smażone jajka i młode ziemniaczki, a potem usiedliśmy razem przy stoliku w ogrodzie i rozłożyliśmy na nim całą korespondencję.

Na wszystkich listach znajdowała się pieczętka świadcząca o zwrocie do nadawcy. Wszystkie były adresowane do Józefiny Starskiej, ale żaden nie nosił śladów po otwieraniu. Przyczyną zwrotu była nieobecność odbiorcy pod wskazanym adresem. Ostatni list, co dziwne, adresowany na 1953 rok, czyli trzy lata po zaginięciu Władka, przyszedł z adnotacją świadcząca o śmierci adresata. Szybko oceniliśmy, że adresu Józefiny Starskiej nie mógł zapisać Władek, gdyż literki były równe i eleganckie, a jego pismo na poprzednich kopertach nie należało do najschludniejszych.

Babcia opowiadała mi, że gdy Władek wrócił z Kanady, było z nim bardzo źle, znacznie gorzej niż wtedy, gdy przyjechaliliśmy na wakacje. Ze zdziwieniem odkryłam, że najstarszy list datowany jest na tydzień przed naszym przyjazdem do dziadków, 20 czerwca 1951 roku.

– Myślisz, że to przez nieszczęśliwą miłość? – spytał Szymon.

Nie zdawało mi się jednak, by nieszczęśliwa miłość miała tu cokolwiek do rzeczy.

– Jego drażnyła jakaś choroba – rzekłam więc. – Być może i ona się zaraziła, skoro zmarła.

– Zmarła już po jego zaginięciu. Czy to możliwe, że...

– Władek nie mógłby jej zabić. – Pokręciłam głową, choć w moim głosie brakowało pewności. – Będzie lepiej, jeśli zapoznamy się z listami, zamiast knuć teorie spiskowe. Zakończmy to raz na zawsze.

– Raz na zawsze – zgodził się Szymon.

Poukładaliśmy listy według dat i rozpoczęliśmy od najstarszego. W każdym kolejnym liście pismo było coraz bardziej chwiejne i coraz trudniej było je odczytać, a kolejne kartki znaczyły duże kleksy i zagniecenia.

*Kuzyn*

10.06.51 r.

Moja najdroższa Józefino,

dziś mijają dwa lata, odkąd widziałem Cię po raz ostatni. Co dzień myślę tylko o Tobie i o tych kilku miesiącach wyrwanych z wieczności, które przyszło nam ze sobą dzielić. Kocham Cię tak samo mocno jak w dniu, w którym zgodziłaś się zostać moją żoną i tego nie zmieni ani to, co wydarzyło się w Kanadzie, ani to, co ma się jeszcze wydarzyć. Choć nie ma już dla nas nadziei, codziennie budzę się z przemożną chęcią podjęcia walki o nasze życie, o nasze szczęście, o Nas. Musi istnieć sposób, by wszystko wróciło do normy.

Ten wyjazd miał być ostatecznym dowodem, że jesteśmy dla siebie całym światem, a cały świat nie może się równać temu, co jest pomiędzy nami – i że nie ma na świecie niczego, co mogłoby stanąć na drodze naszej miłości. Choć los udowodnił nam, że to nieprawda, chcę wyjść życiu naprzeciw, spróbować po raz ostatni podjąć z tym walkę. Chyba udało mi się w końcu znaleźć sposób.

Od pół roku nie jadłem mięsa. To działa! Błagam, musisz spróbować, zrób to dla mnie, Słoneczko. Tylko w ten sposób możemy się temu przeciwstawić. Żywię się jedynie owocami, warzywami i nabiałem. Mam wrażenie, że wszystkie zmiany powoli się odwracają. Moja rana w końcu zaczęła się zasklepiać i już się nie jątrzy. Mogę normalnie chodzić i nie budzę się w nocy z burczeniem w brzuchu. Nie jest jeszcze idealnie, ale jest lepiej, z dnia na dzień coraz lepiej. To dla nas ogromna nadzieja. Proszę, postaraj się, daj sobie szansę. Jeszcze nie wszystko stracone.

Wciąż jestem słaby, ale powoli wracają mi siły. Gdy tylko będę w stanie przejść pięć kilometrów wokół jeziora nieopodal mojego domu, kupię bilet na pociąg i pojedę do Ciebie. Razem z tego wyjdziemy. Jakikolwiek pasożyt żeruje w naszych ciałach, wypędzimy go, razem.

Kocham Cię najmocniej na świecie, jesteś dla mnie wszystkim. Walcz z tym, moja Najdroższa.

Zawsze Twój, Władysław.

01.07.51 r.

Moja ukochana Józefino,

minęło dużo czasu i nie dostałem od Ciebie odpowiedzi. Mam nadzieję, że Twoi rodzice zaopiekowali się Tobą i odpiszesz, jak tylko wrócisz do sił. Mnie także sporo czasu zajęło, nim znów byłem w stanie utrzymać pióro w ręce.

Mój sposób zaczyna zawodzić. Ciężko mi cokolwiek włożyć do ust, bo wszystko smakuje jak pył i trociny, nie trzyma się mnie zbyt długo. Przestaję wierzyć, że to zadziała. Jedynym, co zmusza mnie do jedzenia, jest moja miłość do Ciebie i wiara, że jeszcze się zobaczymy, że jeszcze będziemy razem szczęśliwi. Próbuję każdego dnia.

Ciężko się pisze, gdy ręka odmawia posłuszeństwa. Chciałem się dziś podciągać na drążku jak w wojsku, by nabrać trochę siły i jak najszybciej wyruszyć w podróż do Ciebie, ale gdy tylko spojrzałem na belkę w stodole, zrozumiałem, że moje ciało nie będzie zdolne do takiego wysiłku. Opadam z sił.

Być może jeśli odpiszesz i zapewnisz mnie, że wciąż o mnie myślisz, odnajdę w sobie energię. Jedz, proszę, moja Droga, wysypiaj się i myśl o wszystkich dniach, które spędziliśmy razem, zanim dotarliśmy do Kanady. Kocham Cię i będę Cię kochał przez całą wieczność, Słoneczko.

Twój Władysław.

25.07.51 r.

Moja najdroższa Józio,

tęsknię za Tobą. Twoje włosy zawsze pachniały tak miło, rumiankiem, jak łąki za domem mojego dziadka, a Twoje białe dłonie śnią mi się po nocach i zawsze dotykają mojej twarzy jak w dniu, gdy po raz pierwszy mnie pocałowałaś. Miałaś takie ciepłe, żywe palce. Wstyd mi było, że nie mogłem podarować Ci piękniejszego pierścionka, ale teraz rozumiem już, jaki ten wstyd był głupi, jaki bezzasadny.

Nie odpisujesz na moje listy, ale wiem, że żyjesz. Moje serce o tym wie, bo każdej nocy wrywa się do twojego, bijącego tym samym rytmem, jak wtedy na łodzi w Wenecji.

Cośmy narobili! Dlaczegośmy tam zeszli? Ta jaskinia wraca do mnie w najgorszych koszmarach i nie potrafię już odgrodzić się od tych wspomnień. Tylko myśli o Tobie odpędzają te czarne chmury, które zebrały się nad moją głową.

Błagam Cię, jedz, wysypiaj się, dbaj o siebie i odpisz mi albo podyktuj treść listu swojej matce. Szaleję z rozpaczy przez Twoje milczenie.

Kocham Cię, Słoneczko, zawsze będę, jesteś moim jedynym wybawieniem.

Na zawsze, Władek.

20.08.51 r.

Józefino,

dziś dziadek zmusił mnie bym zjadł mięso. Nie mogłem go zjeść bo nie było to mięso które chciałem. Chciałem go

Chyba zrobiłem coś złego w nocy

W jaskini zostawiłaś pierścionelek. Dlaczego

W

01.09.51 r.

Moja najukochańsza,

najmocniej Cię przepraszam za poprzedni list. Och, Dobry Boże, mam tak wielką nadzieję, że do Ciebie nie dotrze. Miałem chwilę słabości, mięso zawładnęło mną, nigdy nie powinienem był go jeść. Czuję, że teraz moje ciało domaga się go jeszcze bardziej niż wcześniej.

Moje listy z początku lata wracają. Obawiam się, że przyjmiesz tylko ten, w którym jestem tak okrutny, w którym tak bardzo siebie nie przypominam. Nie pamiętam nawet, co w nim napisałem, bo wrzuciłem go do skrzynki, nim wróciła mi jasność umysłu.

Każdego dnia myślę o jaskini. Wzywa mnie. A jeśli tam znajduje się remedium na nasze cierpienie? Co, jeśli powinniśmy szukać u źródła?

Nie boję się twojej choroby, Józefino. Możesz odgryźć mi nawet drugie ucho, możesz zjeść mnie w całości, bylebym tylko miał jeszcze głowę i serce dla Ciebie, gdy dotrzemy do Kanady. Rozpoczynam przygotowania. Potrzebuję siły. Jest jeden wyłącznie sposób, bym mógł ją zdobyć i tylko my oboje wiemy, jaki to sposób. Nasze ciała mówią nam o tym od tyłu miesięcy, że modlę się, by przyszło mi to instynktownie. Cel uświęca środki.

Zrobię to dla nas. Wybiorę kogoś, kogo warto poświęcić.

Tylko Ty będziesz wiedzieć, co uczyniłem. Mam nadzieję, że mnie za to nie znienawidzisz.

Wyruszam na polowanie.

Kocham Cię, Słoneczko.



10.09.51 r.

O mój najświętszy Boże. O Boże. Błagam, przebac mi, i Ty mi przebac, moja Ukochana. Jak mogłem się tak bardzo mylić? Był tylko niewinnym człowiekiem. Nie pozostał nawet ślad po mojej zbrodni, TO pochłonęło wszystko, do najmniejszej kosteczki. Czuję, jak rozpycha się pod moją skórą. Mogę pisać, tylko kiedy wraca mi świadomość i gdy ból robi się lżejszy.

Modłę się, byś nie czuła tego, co ja. A jeśli czułaś już wtedy, gdy byliśmy razem? U Ciebie zaczęło się dużo wcześniej, jeszcze w Kanadzie, w naszym małym, pięknym pokoju z widokiem na góry.

Tak bardzo się boję, że znów obudzi się we mnie ten głód. Czuję go nieustannie. Niech nam ktoś pomoże! Niech ktoś nas uratuje! Z tym nie da się walczyć, to jest silniejsze od człowieka.

Józiu, wiem już, że nigdy się nie spotkamy. Nie chcę, byś mnie widziała w takim stanie. Zawsze będę Cię pamiętał taką, jaką byłaś na łodzi w Wenecji, w czerwonej sukience i z rozpuszczonymi włosami.

Niech Bóg mnie przywróci do tamtego dnia, gdy odnajdę już swoją drogę do raj. Zasypiam, słysząc Twój śmiech i wyobrażam sobie, że kochasz mnie tak, jak ja Kocham Ciebie. Pamiętaj o mnie, gdy to cierpienie dobiegnie już końca.

15.09.51 r.

Idę po ciebie.

20.07.54 r.

Droga Józefino,

wszystkie listy, które syn mój wysłał do Ciebie, wróciły. Czy i on do mnie wróci tak jak te listy? Nie masz dzieci, nie będę Cię więc błagać jako matka, wiesz również z pewnością, że nie urodziłam Władysława, błagam Cię więc jak kobieta kobietę – oddaj mi go lub powiedz mi chociaż, czy żyje.

Jeśli dowiem się, że zginął przez Ciebie, przez Twój chłód, Twoją oschłość, Twoje odejście, nigdy Ci tego nie wybaczę. Umrzesz bez mojego przebaczenia.

Jeśli masz choć krztynę godności, odpisz na ten jeden, jedyny list.

B.

*Brat*

Po przeczytaniu listów moja siostra dostała silnych skurczów. Właściciele restauracji czuwali przy nas, gdy oczekiwaliśmy na karetkę, a ona – spocona, dysząca, z rękami na brzuchu – nieustannie płakała i prosiła mnie, bym spalił wszystkie koperty wraz z ich zawartością.

Uczynilem, jak mi przykazała. Zaraz po tym, jak zabrała ją karetka, wróciłem spacerem do domu i w ogrodzie rozpałilem ognisko, a potem wrzuciłem do niego wszystkie listy. Patrzyłem, jak kartki kurczą się i robią się coraz czarniejsze, a potem znikają w płomieniach i wraz z nimi wystrzelują w górę – były to prawdopodobnie jedyne dowody na to, co stało się z naszym kuzynem i jego ukochaną.

Być może nie powinienem był ich palić. Urszula była w agonii, nie rozumowała trzeźwo. Może powinienem był zanieść je na milicję i wszystko im wytłumaczyć. Jednak czy ktokolwiek potraktowałby mnie poważnie? Czy sprawę zaginięcia Władka można było jeszcze wznowić na ich podstawie?

Po przeczytaniu listów nocowałem u zaprzyjaźnionych sąsiadów. Myśl o powrocie do domu dziadków spędzała mi sen z powiek i wywoływała mdłości. Kolejnego ranka odwiedziłem Urszulę w szpitalu i powitałem na świecie malutkiego człowieka, mojego drugiego siostrzeńca – mieliśmy ze sobą coś wspólnego, obaj byliśmy bowiem czymiś młodszymi braćmi.

Gdy zbierałem się do wyjścia, Urszula chwyciła mnie za mankiet koszuli i zmusiła, bym się do niej pochylił.

– Nie mów nikomu – poprosiła. – Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Jednak zaraz po wyjściu zawędrowałem pod komisariat milicji. Na tablicy przed wejściem znalazłem plakaty, które – na wzór Uli – upewniły mnie w przekonaniu, że powinienem jak najszybciej wrócić do domu i nie dokładać oliwy do ognia. Dla pewności zapytałem o te sprawy sąsiadkę, która podawała mi akurat słuszną porcję golonki na obiad.

– Ci bezdomni? – zapytała. – A kto by się tam przejmował. Do lasów chodzą jak ostatni głupcy. Wszyscy wiedzą, że te lasy niebezpieczne. Będzie już prawie dziesięć lat, jak tam giną ludzie. Słuchy chodzą o wielkiej bestii, która do nas ponoć z Litwy przyszła

i grasuje po okolicznych zagajnikach. Stasiek mówił, że raz tę bestię widział niedaleko domu. Basior jaki czy co, ino ślepie z za krzaków wystawił, a mój stary zaraz zwał, ha!

Tego wieczora udałem się do domu naszych dziadków, choć nie przyszło mi to z łatwością, bo zawsze byłem tchórzem. Przez dziesięć minut stałem na korytarzu i wpatrywałem się w klapę od sufitu, a gdy tak czekałem – nie wiedząc na co – czułem się jak ten sam trzynastoletni chłopiec, który uciekł z progu kuchni w środku nocy.

Bezradny. Przerażony. Zdezorientowany.

Gdy ostatnia pomarańczowa łuna słońca dopaliła się na drewnianej boazerii, dom pogrążył się w miękkiej, szarawej ciemności, a wraz ze zmierzchem na strychu rozległo się przeciągłe skrzypnięcie.



# KRÓTKA ZIMOWA OPOWIEŚĆ

Magdalena Sobota

Przyjechałam do pensjonatu rodziny Starskich pod koniec lutego 1950 roku. Był to bardzo zimny i ciemny luty, tak ciemny, że z każdym kolejnym dniem przestawałam wierzyć nie tylko w nadejście wiosny, ale nawet w nadejście marca. Mrozy ścisnęły tak siarczyste – nawet za dnia! – że rzęsy zamarzały w ułamek sekundy po wyjściu z domu na ulicę, a oddech stawał w gardle i miało się wrażenie, że – pomimo licznych warstw pulawerów i kurtek – ciało pokrywa szron.

W jeden z krótkich dni, dryfujących jak statek na powierzchni apokaliptycznej nocy, ukochany mój Leon porzucił mnie. Było to zwieńczenie wielotygodniowej ciszy między nami, zwiastującej nieuchronnie to, co nadeszło – miłość, którą do mnie żywił, umarła wraz z utraconym przeze mnie dzieckiem. Ja sama, choć obolała i zrozpaczona po stracie dziecka, nie szukałam u narzeczonego zbytnej czułości, więc zebrała się w naszym domu nieznośna pustka, podsycana oskarżeniami rzucanymi sobie wzajemnie przy wielu okazjach i łzami, których nigdy nie wylałam aż tyle, co w czasie tych okropnych dni.

Gdy Leon odszedł, pozostałam ja, nasz dom i moje maszynopisy, a także wspomnienie dziecka, którego nigdy nie miałam wziąć na ręce. Usiłowałam dokończyć tomik poezji, którego pisanie rozpoczęłam jeszcze przed wiadomością o ciąży, ale wkrótce wszystkie kartki z wierszami wysypałam przez okno, by rozmiękły w śniegu i rozłożyły się w zaspach tak jak moje nadzieje. W czterech ścianach było bez Leona zatrważająco pusto, snułam się więc w towarzystwie mej jedynej towarzyszkii, gospodyni Dobrosławy, niepokieszona i wywrócona na lewą stronę jak smutna, pocerowana część garderoby, której nikt już nie chce nosić.

Z dnia na dzień każda chwila spędzona w tym domu stawała się coraz bardziej nieznośna. Choć Dobrosława gotowała mi, nie jadłam; choć wewnątrz płonęły lampy i ogień na kominku, było mi zimno i pograżałam się w ciemności. Rozumiem dzisiaj, jak bardzo dotknęła mnie strata ledwo co poczętego dziecka, ale wtedy sądziłam, że to wina domu, w którym rozpoczęłam tak niedawno życie z ukochanym człowiekiem, któremu zawierzyłam

i któremu chciałam ślubować wierność i lojalność. W mojej sypialni godziny płynęły wolniej niż bym sobie życzyła, toczyły się ociężale; w gabinecie, w półmroku, nie rósł żaden nowy twór. Nie umiałam dać życia literom tak samo, jak nie potrafiłam go dać owocowi mojej miłości. Podałam się więc, czekając biernie na przyjście słonecznego dnia, na wiadomość od Leona albo od mojej matki. Nic jednak nie przychodziło, a moje litery, jedyne źródło utrzymania, pochłonęła zamieć.

Zbudziłam się pewnego popołudnia pełna wstrętu do samej siebie i nienawiści do świata większej aniżeli poprzednio. A więc to kryło się pod depresyjną szarością – nie niechęć, nie żal, ale śmiercionośna złość! Wrzuciłam do walizki ubrania, pióro i teczkę z papierem, powiadomiłam Dobrosławę, że wyjeżdżam, a później wsiadłam do pociągu i pojechałam w miejsce, które znałam z dzieciństwa, w którym spędzałam tak radosne lata niesplamione rozczarowaniami.

Pensjonat Starskich stał na uboczu, z dala od najbliższego miasteczka, ale za to w miejscu tak malowniczym, że zapierało niemal dech w piersiach. Zaraz za tarasem tego niewielkiego domu zbudowanego z surowych, białych desek, prowadził do samego brzegu morza pas wysokiej trawy; w niebo, srebrne tak latem, jak i zimą, wzbijał się huk fal i kojący, syreni krzyk mew. Biegałam przed wieloma laty po tej wąskiej plaży, jeszcze jako dziecko, zapadając się w piachu. Wtedy nie istniało dla mnie nic oprócz fioletowego horyzontu, owiniętych wodorostami pali wynurzających się z wody jak palce morskich potworów i słonej piany wokół kostek u nóg. Gdy jednak dotarłam pod pensjonat w tamten mroźny, lutowy dzień, jak każdy dorosły konfrontujący się ze wspomnieniami odkryłam, że rzeczywistość jest zupełnie inna, niż pamiętałam.

Dom był niewielki, lecz ładny i dobrze utrzymany. Zimą ogród wokół niego tonął w bieli i spał, a więc nie było się czemu przyglądać, ale stopy poniosły mnie kamienną ścieżką do przedsionka, gdzie na drzwiach wisiały mosiężne, pozieleniałe litery układające się w nazwisko właścicieli. Gdybym nie wiedziała, że prowadzą pensjonat, pewnie nigdy nie trafiłabym w to miejsce. Zastukałam energicznie, przemarznięta na kość.

Nie musiałam długo czekać, otworzyła mi zaraz kobieta o znajomych rysach. Jakże się ucieszyłam! Choć starsza o całe piętnaście lat, wyglądała niemal zupełnie tak jak dawniej. Miała szerokie, ogorzałe oblicze, ciemne, szczerze oczy i włosy ułożone w wygodne, ale i eleganckie upięcie. Zdziwienie przemknęło jej przez twarz, ale po chwili przypomniała sobie wykonany przeze mnie ze stacji kolejowej telefon i uśmiechnęła się, zapraszając do wnętrza pensjonatu.

W dzieciństwie zajmowałam z rodzicami pokój na parterze, z którego można było wyjść na ocieniony wielkim jaworem taras. Teraz jednak pani Starska wyjaśniła mi, że w tym pokoju składowane są niepotrzebne meble, i poprowadziła mnie, wypyując po drodze o moje życie, na piętro, wiecznie ciemne pod naporem ciężkich belek sufitowych i ukośnego stropu. Było tu brudniej niż na dole, pachniało stęchlizną, a w kątach dostrzegłam pajęczyny, ale rozumiałam moją gospodynię – nie była najmłodsza i pewnie nie miała siły sprzątać, a jako że pensjonat od wielu pokoleń prowadziła jej rodzina, nie chciała zapewne przekazywać go nikomu innemu i zwracać się o pomoc przy utrzymywaniu pokoi w zimowym sezonie. Przypomniałam sobie jednak, że państwo Starscy mieli córkę, której wiek był zbliżony do mojego. Zawsze bawiliśmy się razem, kiedy spędzałam tu lato.

Zapytałam więc o dziewczynę. Pani Starska, otwierając mi jedne z czworga drzwi, westchnęła cicho.

– Och, kochanie – powiedziała zbolalym głosem. – Józefina wyjechała na studia! Nie chciała zajmować się interesem, więc wszystko spoczęło na barkach moich i mego męża.

– A gdzie się podziewa pan Starski? – spytałam uprzejmie, wnosząc walizkę do pomieszczenia. Panował w nim zaduch, ale i chłód, co dawało nieprzyjemną mieszaninę.

– Rąbie drwa w szopie. Zawołam go, by cię przywitał, aniołeczku.

Zawsze tak mnie nazywała. Nawet własna matka nie chrzciała mnie słodkimi przydomkami, zawsze wołając po imieniu, jednak pani Starska wołała „aniołeczka”. Być może wiązało się to z moim wyglądem, ponieważ odziedziczyłam po matce złoty kolor włosów i błękitne oczy.

Zostawiła mnie, bym się rozgościła. Nie chciałam otwierać okna, by nie wpuszczać śniegu, ale zapach pleśni stawał się coraz bardziej nieznośny, uchyliłam zatem drzwi i przystąpiłam do wyciągania ubrań z walizki. Pokój był urządzone skromnie, jednak wygodnie – prócz łóżka zasłanego niezbyt świeżą pościelą wewnątrz znajdowało się kilka lamp, które natychmiast zapaliłam, szafa, komódka z pięknego drewna wraz z nieco krzywo powieszonym nad nią lustrem i stolik z krzesłem o prostym oparciu. Nie zabrałam maszyny do pisania, była zbyt ciężka, więc położyłam na blacie tylko plik kartek i swoje ulubione pióro, spadek po ojcu i jednocześnie jedyną po nim pamiątkę.

Na parterze rozległy się głosy, pomyślałam więc, że wrócił pan Starski i zbiegłam po schodach, by się przywitać. Miałam rację; on zmienił się bardziej niż żona, wyglądał o wiele starzej, ale wieku przydawała mu przede wszystkim siwa, oszroniona teraz broda. Zdjął czapę oklejoną śniegiem, a później objął mnie ramieniem i spojrzał na moją nieco wychudzoną po tygodniach braku apetytu twarz, nieuczczane loki i okulary.

– Niemałą nam zrobiłaś niespodziankę! – powiedział, kiedy udaliśmy się już wspólnie do kuchni, gdzie na pana Starskiego czekał obiad, a na mnie – ponieważ posiłku odmówiłam, wciąż nie będąc głodna – kawa z mlekiem. – Nie spodziewaliśmy się, że jeszcze do nas wrócisz. Choć twoja matka pisuje od czasu do czasu, to nie wspominała nic o wizycie!

– Nie mówiłam jej tego, bo też nie planowałam takiej wycieczki. – Upiłam kawy, pokręciłam głową. – Nie, to był spontaniczny pomysł. Potrzebuję przestrzeni, aby pracować.

– A jakaż to praca? – zapytała pani Starska, nakładając mężowi ziemniaków na talerz.

– Jestem pisarką – mruknęłam. Nie lubiłam tego mówić głośno, bo brzmiało, jakbym była dzieckiem i chwaliła się przed dorosłymi, że napisałam wierszyk. Tak naprawdę jednak faktycznie to mój zawód, czy też raczej źródło utrzymania, napisałam bowiem dwie książki, które nie odniosły nadmiernego sukcesu, ale ukazały się drukiem, a także kilka tomików poezji. Nazwanie siebie „poetką” nie przeszłoby mi jednak przez gardło.

– To wspaniale! Co takiego piszesz?

– Romanse. – Kolejna rzecz, której się wstydziłam. Czułam, jak moja twarz robi się różowa, choć w kuchni nie było wcale gorąco. – Nie lubię tego, ale to się opłaca. Dużo ludzi czyta takie książki.

Gdy tylko dokończyłam kawę, po chwili niezobowiązującej konwersacji wróciłam do pokoju. Ależ mi było głupio przyznawać się do swojego fachu... Nie dlatego, że umniejszam pracę pisarzy czy choćby same romanse, powód był inny. Niegdyś moi rodzice, przyjeżdżając tutaj, chwalili moje nadzwyczajne zainteresowanie światem, inteligencję i ambicję. Sądziли przez długi czas, że wybiorę się na dobre studia i zostanę lekarzem albo naukowcem, sugestywnie zresztą wskazywali mi tę ścieżkę przez wiele lat. Później, kiedy jasne się stało, że nie zamierzam wcale studiować i jedyne, co umiem, to pisać – i to raczej marnie – matka zaczęła mi okazywać coraz mniej względów i nasze stosunki rozluźniły się. Ojciec pokrzepiał mnie w moich próbach wydawania krótkich nowelek, ale kiedy nikt nie był zainteresowany, poniechał tego i czułam, ilekroć odwiedzałam rodziców, że jest mną rozczarowany. Przed śmiercią podarował mi swoje pióro i poprosił cicho, tak by matka nie słyszała jego słów, żebym napisała nim jakieś dobre dzieło. Jak dotąd nie udało mi się tego dokonać. Moje książki były co najwyżej przeciętne, miałam tego bolesną świadomość.

Byłam tak zmęczona podróżą, że nie umywszy się nawet, padłam na łóżko w ubraniu i przymknęłam oczy. Światło lamp, przygaszone i żółte, zalewało pokój na poddaszu i przypominałam sobie wszystkie chwile spędzone w tym domu przed laty... Tato w rozchełstanej koszuli, czytający gazetę o świcie nad talerzem jajeczniczy, mama w kapeluszu z szerokim rondem opalająca się na rozkładanym fotelu, jej skóra złota jak sam



piasek... Ja, ucząca się pływać w morzu spokojnym jak kałuża, takim bezkresnym, zielonym i czystym. To były یشie sielankowe czasy, których smak zapiekł mnie w gardle i rozplakałam się niemo, wstydząc się szlochać. Poduszka pachniała dawno niepranym materiałem, pokrywała ją warstwa kurzu, ale zdjęłam okulary i położyłam na niej policzek. Chciałam zasnąć, żeby zapomnieć o Leonie, którego obraz prześladował mnie stale, odkąd widziałam go po raz ostatni.

Niestety, przyśnił mi się. Nie było to niczym dziwnym, jako że bardzo często stawał się głównym obiektem moich koszmarów, ale nie zdołałam się do tego jeszcze przyzwycząić. Nie były to zresztą tak naprawdę koszmarnie sny, raczej bardzo spokojne, nawet piękne, łagodne. W tych snach leżałam obok Leona we wspólnym łóżku, a między nami spał nasz syn; czasem śniłam, że tańczymy na weselu, a czasem, że wyprawiam dziecko do szkoły. Te ładne, nierealne wizje były dla mnie katogą. Tak zdarzyło się i tym razem: obudziłam się we łzach.

Był wczesny świt, ale poznałam to tylko po układzie wskazówek zegarka, bo za oknem szalała śnieżycza i panowały ciemności gęste choć oko wykol. Dobiała piąta. A zatem chyba trochę za wcześnie na krzątanie, która mnie zbudziła... Usiadłam, nałożyłam na nos okulary i zaczęłam nasłuchiwać. Zdawało mi się początkowo, że pani Starska zaczyna przygotowywać śniadanie dla męża, który zimą dorabiał w mieście, ale dotarcie tam nie mogło zajmować aż tak wiele czasu, by musiała o tej porze gotować. Poza tym odgłosy nie dochodziły wcale spod podłogi, a raczej ze ściany. Skrobanie dobywało się zza komody, nad którą widziałam w lustrze o prostej ramie własne, blade odbicie. Światło lamp, których nie pogasiłam, nadawało mojej cerze bardzo niezdrowy wygląd. Poza tym bałam się, mimo że w starych domach często słyhać najróżniejsze dźwięki. To mogły być chociażby szczury albo myszy, przecież pani Starska nie sprzątała na piętrze zapewne od schyłku lata, gdy zniknęli stąd ostatni goście.

Chciałam usnąć na powrót, uspokojona nieco tym wyjaśnieniem, ale nie mogłam, wstałam więc i usiadłam przy stoliku. W pokoju nagrzało się trochę, odkąd tu przybyłam, zdjęłam zatem jeden ze swetrów i chwyciłam pióro, jednak dłoń mi drżała. Nie byłam pewna, co chcę napisać i czy w ogóle cokolwiek dam radę z siebie wykrzesać.

A jednak napisałam. Pisałam i pisałam, raz po raz przenosząc zmęczone oczy znad papieru na szybę pokrytą wzorami szronu, matową od ich fantazyjnych narośli. Leon powtarzał czasem, że mój charakter pisma zupełnie dobrze oddaje moją osobowość: chwiejny, pochyły, ale elegancki, ozdobny i ładny, mimo że ciężko go rozczytać, jeżeli nie było się mną. Dlatego wolałam maszynę do pisania, która pozostawiała na bieli kartek równe

rzędy słów, pokrzepiające w swojej zwyczajności. Niemniej teraz nawet cieszyłam się, że wybrałam pióro – jego skrobanie było ciche, a stukot maszyny obudziłby pewnie państwa Starskich.

Przerwałam dopiero, gdy świat za oknem zmienił się z czarnego w srebrny. Śnieżyca zelżała, chociaż prószyło nadal i widziałam teraz zza zasłony zamrożonej szyby morze, bielejące przede mną w nieskończoność. Pierwszy raz, odkąd straciłam dziecko i przyszłego męża, poczułam się lżej.

Pani Starska przygotowała dla mnie śniadanie i czekała w kuchni, słuchając radia. Co chwila nie mogło złapać fal, słychać było szumy i przerwane zdania. Usiadłam i nie chcąc jej sprawić przykrości, zabrałam się powoli za posiłek.

– Słyszałam coś w nocy na piętrze – oznajmiłam, kiedy już pierwszy kęs jakimś cudem przeszedł mi przez suche i obolałe gardło. – Czy to szczury?

– To możliwe – westchnęła. – Stara już jestem, kości mam nie te, co dawniej. Ciężko mi się zmiata i szoruje, toteż trochę tam panuje nieporządek. A i szczury czy inne szkodniki mogą się do tego domu bez trudu dostać, mąż ma za dobre serce i nawet pułapek nie pozwala rozstawić.

Pokiwałam głową, odsunęłam w połowie pełny talerz.

– Co pani porabia tu jesienią i zimą, pani Starska? – zagadnęłam z autentyczną ciekawością. Byłam pewna, że gdybym to ja została w takim domku na peryferiach na całe długie miesiące wyłącznie w towarzystwie jednego człowieka, zwariowałabym z nudów.

– Zaraz po sezonie zawsze jest mnóstwo sprzątanina, wtedy z mężem oporządzamy pensjonat po ostatnich wczasowiczach – Zamyśliła się, splatając dłonie na stole. – A potem różnie, to i od pogody zależy, i od zdrowia... Kiedyś to się wiele rzeczy robiło, aniołeczku, a to pojechało się do przyjaciółek w mieście, a to na mszę, na festyn albo na grzyby. Ale teraz im zimniej, tym mniej mi się chce z domu wychodzić, więc siedzę i gotuję. Czasem poszydełkuję trochę, ale nie ma dla kogo, mąż nie lubi tych moich rękodzieł.

– A w sezonie dużo macie gości?

– Są lepsze i gorsze lata, ale wyżyć się z tego da. To już nie to, co kiedyś, że rezerwowali pokój na pół roku naprzód, ale nie mogę narzekać.

Patrzyła na mnie trochę podejrzliwie zza grubych oprawek okularów.

– Powiedz no mi, co ty tu robisz? Jest środek zimy, z dnia na dzień przyjechałaś, nie mówiłaś nawet, na ile zostaniesz... Oczywiście bardzo miło cię widzieć, kochanie, ale sama przyznasz, że to niespodziewane.

– Tak, przepraszam. Wiem. To wszystko stało się tak nagle. Miałam pewne kłopoty rodzinne, musiałam szybko wyjechać, żeby zaczerpnąć oddechu. I poświęcić się pracy. Wydawca czeka na kolejną powieść, a ja ledwo zaczynam pierwszy rozdział.

– Coś się wydarzyło w rodzinie? Coś z matką?

– Nie, nie – zaprzeczyłam szybko. – U niej wszystko w porządku.

Nie drażyła tematu, w duchu odetchnęłam z ulgą.

– Aniołeczku, na jak długą wizytę mam się przygotować? – spytała łagodnie i zrozumiałam, że zrobiłam państwu Starskim niezapowiedziany problem. Znowu zrobiło mi się strasznie wstyd.

– Przepraszam, że jestem utrapieniem – wymamrotałam. – Zostanę tylko przez jakiś czas, parę dni, nie więcej. Proszę mi wybaczyć. Oczywiście zapłacę zawiązką!

– Ależ nie, nie. – Poklepała mnie po dłoni. – Dobrze mieć z kim porozmawiać. Poza tym przez telefon brzmiałaś tak smutno i strasznie, że nie miałam serca cię nie przyjąć.

– Czyli pensjonat jest całkiem zamknięty poza sezonem? Dlaczego w takim razie mnie zakwaterowaliście? Trzeba było mnie odprawić!

– Jesteś przyjaciółką rodziny, kochanie, nie odprawia się przyjaciół. Powiedz mi tylko, proszę, prawdę, co cię sprowadziło?

– Rozstałam się z narzeczoną, tylko tyle. – Westchnęłam. – Aż tyle.

– Cóż to za człowiek, który porzuca tak cudowną dziewczynę? – Oburzyła się.

– To bardziej skomplikowane. – Pokręciłam głową. – Pani Starska, wiem, że jestem problemem. Przyjechałam tutaj tylko z powodu impulsu, nie mogłam wrócić do matki. Ale proszę się nie obawiać, wyjadę jak najprędzej. Widzę już, że to był błąd i sprowadziłam tylko niepotrzebne troski na pani głowę.

– Nie wolno ci tak myśleć. – Twarz pani Starskiej złagodniała, zmiękła. – Masz ciężki czas w życiu, da się poznać. Powinnaś zostać i wypocząć.

Kiedy moja gospodyni zajęła się sprzątnięciem po śniadaniu, postanowiłam spacerować się do miasta. Prawie przestało śnieżyć, choć nadal było ciemno i ponuro; ubrałam się ciepło i udałam się znajomą drogą w kierunku widniejących w oddali zabudowań. Spacer zajął mi dużo czasu i gdy dotarłam do celu, byłam już bardzo zmarznięta i zaskakująco głodna. Pamiętałam jak przez mgłę, że przy głównej alei znajduje się przynajmniej kilka przyjemnych miejsc, gdzie można się posilić, skierowałam więc swe kroki właśnie na najszerszą ulicę, teraz prawie całkiem pustą i zaśnieżoną.

Jedna z kawiarni przykuła moją uwagę, przypominała bowiem miejsce, w którym poznałam Leona. Jej przeszklone, duże drzwi zaparowały od środka, a kiedy je popchnęłam, uderzył mnie zapach czekolady i karmelu. Było ciasno, a w środku siedziało kilka osób, sącząc kawę i przeglądając codzienne gazety. Zamówiłam kawałek ciasta i usiadłam na jednym z obitych perkalem krzesel.

– Pani nie stąd? – zapytała młoda dziewczyna, kelnerka, stawiając na stoliku zamówiony przeze mnie deser. Wyglądała przyjaźnie, uśmiechała się sympatycznie.

– Nie, przyjechałam do pensjonatu państwa Starskich – wyjaśniłam.

Otworzyła szerzej oczy.

– Ale przecież oni mają zamknięte od dwóch lat – wyszeptała, rozglądając się, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Nie wchodził też żaden nowy klient, usiadła więc naprzeciwko mnie i nachyliła się nad stolikiem. Końcówki jej włosów prawie dotknęły mojego ciastka.

– Czyżby? Zameldowałam się bez kłopotów.

– Nie przyjmują nikogo od zaginięcia Józefiny – mruknęła.

– Zaginięcia?

– Zna ją pani?

Pamiętałam tylko wygląd córki Starskich jako małej dziewczynki, nie można było zatem powiedzieć, bym ją znała. Zaprzeczyłam więc.

– Józefina to córka państwa Starskich – wyjawiała mi kelnerka. – Chodziłyśmy do jednej klasy w szkole, bardzo ją lubiłam. Przyjaźniłyśmy się, ale w wakacje dwa lata temu Józefina wyjechała z narzeczoną. Miała zapisać się na studia, ale mnie pisała w listach, że po prostu podróżują, nigdzie nie mogli zagrać miejsca, chcieli poznać cały świat. Znałam tego chłopaka, byli dla siebie stworzeni, więc bardzo cieszyłam się, że się stąd wyrwali.

Pani Starska twierdziła, że Józefina wyjechała na studia. Córka musiała ją zatem okłamać, co wydało mi się dość dziwne, ale ostatecznie czy ja sama nie oszukiwałam własnej matki co do mojego życia?

– W końcu on wrócił – podjęła kelnerka, odgarniając kosmyki z blatu kawiarnianego stołu. – Sam, bez Józefiny. Nie chciał powiedzieć, co się z nią stało, utrzymywał, że dziewczyna studiuje za granicą, a później sam stąd wyjechał i już nikt go więcej nie widział.

– Co w tym dziwnego? – zapytałam, nie rozumiejąc sensu jej historii.

– Nie chcę pani straszyć, ale ludzie mówią, że Józefina jest w pensjonacie. – Kelnerka pokręciła głową. – Ktoś usłyszał od lekarza, którego wezwała pani Starska. Podczas tej podróży Józefinie coś się stało, nikt jednak nie wie, co takiego.

– W pensjonacie nie ma nikogo oprócz mnie i państwa Starskich – odparłam. – Jest pusto, pokoje stoją nieużywane.

– W takim razie to muszą być bzdury. – Wzruszyła ramionami. – Jednak wołałam się upewnić, kiedy pani powiedziała, że tam się zatrzymała.

– Dziękuję – odpowiedziałam, gdy wstała, ale nie miałam już ochoty jeść. Położyłam gotówkę pod talerzykiem z ciastem i wyszłam w chłód.

Opowieść była lekko niepokojąca, to prawda, ale miałam też pewność, że jest wyssana z palca. Jeżeli Józefina naprawdę wróciła ze swojej podróży chora, a rodzice zamknęli pensjonat, by się nią opiekować, po co mieliby mnie oszukiwać i przyjmować w swoje progi? Nie uwierzyłam zatem kelnerce, zawróciłam i skierowałam się w stronę domu, z którego przyszłam.

Powitała mnie oczywiście pani Starska; mimo zdenerwowania zjadłam solidną porcję zupy i choć odrobinę mnie zemdliło, utrzymałam ją w żołądku. Później poprosiłam o ręcznik i wzięłam kąpiel w przestronnej łazience, która nie zmieniła się nic a nic od piętnastu lat. Moja twarz w lustrze prezentowała się tak samo, jak nad ranem – byłam blada, miałam zapadnięte policzki i wyglądałam na bardzo zmęczoną.

Pisanie nie przyszło mi tak łatwo jak przedtem, ale zapisałam prawie półtorej strony starannie przemyślanymi zdaniem. Gdy zaczynałam, nie byłam pewna, czym będzie ta powieść: czy powstanie kolejny nudnawy romans okraszony nadmiernie finezyjnymi metaforami, czy też uda mi się wykrzesać z siebie coś innego, coś więcej. Jak na razie zarys historii był bardzo mętny, ale wiedziałam już, gdy kładłam się spać, że zanim wyjadę z pensjonatu – a planowałam zostać w nim nie dłużej niż pięć dni, by nie sprawiać zbyt wiele kłopotów właścicielom – skończę pierwszy rozdział i moja powieść będzie miała solidny fundament. Bohater zupełnie przypadkowo wyrósł na zgliszczach mojego nieszczęsnego związku i chociaż nie przypominał Leona ani w wyglądzie, ani charakterze, czułam zacierające się rysy mojego ukochanego w tym papierowym mężczyźnie, którego twarz i kroki kreślił czarny tusz mojej stalówki.

Sen przyszedł prędko, czułam bowiem zmęczenie długim spacerem na mrozie. Wicher świszczal nad dachem i koił moje nerwy, więc gdy pochłonał mnie koszmar, tym razem nie był bolesny, lecz jedynie dogłębnie smutny.

Zbudziłam się wcześniej niż poprzedniego dnia, zegarek wskazywał ledwie drugą nad ranem. Nie paliła się też żadna lampa, gdyż tym razem wszystkie zgasiłam, aby lepiej spać.

Zastanawiałam się, czy usiąść do pisania – w mej głowie wykrył się całkiem nowy pomysł na wątek – czy usnąć ponownie, gdy odgłos, który mnie zbudził, powtórzył się. Kroki na schodach. Nie namyślając się długo, wstałam, by natychmiast sięgnąć po pled i owinąć się nim szczelnie – wieczorem wygasł ogień w kominku i w domu wychłodziło się tak, że miałam gęsią skórę na całym ciele. Pomaszerowałam dzielnie do drzwi na korytarz i wystawiłam przez nie głowę.

Pani Starska wspinała się po schodach, niosąc lampkę, cicho stawiając stopy. Zobaczyła mnie i niemal krzyknęła ze strachu.

– Aniołeczku, na Boga, co ty robisz?

– Obudziła mnie pani – przyznałam zgodnie z prawdą. – Dokąd pani idzie o tej porze?

Poczułam się zdecydowanie zbyt wścibska, ugryzłam się w język. Była we własnym domu i mogła chodzić, dokąd jej się żywnie podobało, nawet jeśli na poddaszu nie było czego szukać. Ona jednak westchnęła tylko, podchodząc do mnie.

– Lunatykuję, ot co – wyznała. – To straszna przypadłość, można wyjść na mróz albo spaść ze schodów. Ale mój mąż ma twardy sen i nigdy nie wie, kiedy opuszczam łóżko. Przepraszam, że cię zbudziłam, kochanie.

– Ależ nic się nie stało. Czy odprowadzić panią na dół?

– Nie trzeba, nie trzeba. To nic takiego.

Zeszła szybko po schodach, światło lampy zniknęło za drzwiami sypialni i dom pogrążył się w mroku. Wróciłam więc do pokoju i położyłam się na wznak, jednak jej dziwne zachowanie nie dawało mi spokoju. Nigdy nie widziałam lunatykującej osoby, więc nie mogłam zakwestionować jej wyjaśnienia, ale coś nie było w porządku. Nie mogłam jeszcze długo usnąć i podjęłam decyzję, że następnego dnia wyniosę się i wrócę do domu, choćbym miała w nim umrzeć z tęsknoty za Leonem i straconym dzieckiem.

Jednak o poranku nocne rozważania straciły na znaczeniu, ponieważ usiadłam przy stoliku i zapisałam kolejne osiem stron rządami słów bez choćby jednej poprawki. Już wiedziałam, że nie będzie to romans, jednak wciąż stanowiło dla mnie zagadkę, w co rozwinie się ten pierwszy rozdział. Czy to będzie opowieść o zbrodni, rozlewie krwi i zemście? A może o zarazie wojny, która nie tak dawno temu zatrula znany mi świat?

A może o zimie, nieustępliwej, nieustającej zimie, która nie ma swego końca? Czy też o tym wszystkim naraz i czymś jeszcze...?

Pisałam do chwili, aż nie poczułam się głodna. Wtedy zesłam do kuchni i odnalazłam panią Starską przygotowującą obiad dla męża. Uśmiechnęła się do mnie i zaprosiła do stołu.

– Co słyhać u twojej mamy? – zapytała od niechcienia, nakładając mi wczorajszej zupy warzywnej. Wzruszyłam ramionami.

– Sądzę, że wszystko po staremu. Rozmawiamy sporadycznie, odkąd wyprowadziłam się z domu.

– Tak to już bywa z rodzicami i dziećmi, prawda? – Zabrała się za siekanie boczku.

– Chyba tak – przyznałam. – A Józefina pisze do państwa listy?

– Czasami – odparła pani Starska i nie wyłapałam fałszu, choć bardzo się starałam. – Ale ma swoje życie, na uniwersytecie jest całkiem inaczej niż w małym miasteczku.

– To pewne.

– Powinnaś napisać do matki – zachęciła. – Znam ją odrobinę, zawsze była bardzo dumną osobą. Nie chce pierwsza wyciągnąć ręki, ale na pewno jej na tobie zależy, aniołeczku.

– Nie przeczytała żadnej mojej książki – zauważyłam, już bez bólu, choć kiedyś ten fakt bardzo mnie ranił. – Nie wiem, czy z listem będzie inaczej.

– Na pewno bardzo cię kocha. Śmierć twojego ojca musiała być dla niej ciosem.

Pani Starska nie myliła się. Po tym tragicznym wydarzeniu matka przegrała z żalobą, która na wiele dni kazała jej zamknąć się w sypialni i milczeć. Nigdy nie była już taka jak przedtem, zupełnie jakby udawała, że ojciec nigdy nie istniał.

– Myślę, że wyjadę jutro, poczułam się odrobinę lepiej – oznajmiłam. Pracując w takim tempie byłam w stanie wkrótce skończyć wstęp do książki, a atmosfera pensjonatu zaczynała mnie, głównie w związku z historią kelnerki z miasteczka, niepokoić. – Nie chcę być ciężarem.

– Ależ nie jesteś – zatroskała się od razu pani Starska. – Zostań jeszcze, przynajmniej do końca lutego.

Obliczyłam szybko, że musiałabym nocować tu jeszcze cztery razy.

– Zastanowię się – powiedziałam tylko lakonicznie, nie chcąc, by zaczęła nalegać.

Dokończyłam zupę, pozmywałam po sobie naczynia i wróciłam do pokoju. Znowu zbierało się na gęste opady śniegu, niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, a morze było gładkie jak lustro, nieruchome jak śmierć. Zabrałam się do pisania, czując ekscytację

narastającą pod sercem, jak zawsze, gdy w mojej głowie rozwijał się pomysł, a ciało potrafiło ten pomysł obrobić, tak jak rzemieślnik obrabia drewno, zmienić w słowa i ubrać w kształt chwiejnych literek oddających moją własną chwiejność.

Pisałam przez jakiś czas, potrząsając czasem dłonią, później przerwałam, by przywitać się z wracającym z pracy panem Starskim i wziąć kąpiel, i znowu wróciłam do pisania. Miałam przed sobą dwadzieścia dwie strony, gdy usłyszałam dobiegający z nieokreślonego miejsca zduszony jęk. Pomyślałam najpierw, że to może być wiatr, ale odgłos zupełnie nie przypominał jego wycia. Otworzyłam więc ostrożnie drzwi, sądząc, że równie dobrze może to być głos pani Starskiej, która skaleczyła się w kuchni, ale w domu panowała kłująca cisza, w której każde skrzypnięcie drewna było niebywale głośne. Wsłuchałam się w tę ciszę i dobiegł mnie po raz kolejny stłumiony jęk – zdecydowanie ludzki.

Byłam już prawie pewna, że Józefina jednak jest zamknięta w tym domu. Nie rozumiałam jednak, po co ani dlaczego państwo Starscy nie powiedzieli mi o tym, gdy tu zawitałam. Przecież to żaden wstyd, mieć chorą córkę i się nią opiekować... Zadygotałam, kiedy z parteru dobiegł hałas. To drzwi sypialni zaskrzypiały, gdy któreś z gospodarzy wyszło na zewnątrz sprawdzić, co się dzieje. Wróciłam do pokoju na tyle szybko, by nikt się nie zorientował, że z niego wyszłam i usiadłam na krześle przy stoliku, chwytając pióro. Wtedy ktoś zastukał i nie czekając na odpowiedź, pchnął drzwi do mojego pokoju.

– Co porabiasz, moja droga? – zapytał pan Starski. Miał rozbiegany wzrok, ale poza tym wyglądał zupełnie normalnie.

– Piszę – odparłam. – I zaskakująco nieźle mi idzie! Mam nadzieję, że kupicie moją książkę, kiedy już zostanie wydana?

– Z całą pewnością – odrzekł. – W takim razie nie przeszkadzam, dobranoc!

– Spokojnej nocy, panie Starski – odrzekłam i wyszedł. Nasłuchiwałam przez dłuższą chwilę i zorientowałam się, że nie zszedł po schodach. Musiał albo stać przed moimi drzwiami, albo udać się do innego pokoju na poddaszu.

Wyszłam z sypialni, mając zamiar – w razie, gdyby mnie nakrył – udawać, że kieruję się do łazienki na parterze. Ale piętro było puste, pogrążone w ciemności. Miałam już wracać do siebie, by naprawdę zająć się pracą, gdy dosłyszałam głos pana Starskiego. Mówił cicho i nie rozpoznałam słów, ale byłam przekonana, że jest w jednym z pokoi – i to w pokoju obok mojego.

Tej nocy nie przyszło mi zasnąć. Leżałam bez ruchu, czekając, aż ten, kto jest w pokoju za ścianą, da znać, że żyje. To mogła być Józefina, ale mógł to też być ktokolwiek



inny, wołałam się o tym nie przekonywać. Dlatego o świcie wrzuciłam do walizki wszystkie swoje rzeczy i zesłam na śniadanie, zamierzając się ostatecznie pożegnać.

W kuchni zaskoczył mnie pan Starski.

– Dzień dobry – rzekłam, siadając. – Pan nie w pracy?

– Dzisiaj mam wolne – odrzekł. – I dobrze, bom zmęczony.

Coś w jego tonie kazało mi nie dopytywać, zjadłam więc jajecznicę i podziękowałam uprzejmie, a potem zamknęłam się w pokoju i przez długi czas próbowałam uspokoić szybko bijące serce. Byłam niemal pewna, że pan Starski nie został w pensjonacie z powodu wolnego w pracy, tylko po to, żeby zatrzymać mnie, gdybym chciała wyjechać. To przekonanie było tak silne, choć praktycznie pozbawione podstaw, że rozpakowałam swoje rzeczy na nowo i usiadłam z piórem, starając się wykrzesać ze zmrożonego lękiem umysłu jakiekolwiek słowa.

W końcu poddałam się i postanowiłam udawać, że chcę udać się na spacer. W ten sposób zamierzałam sprawdzić, czy pozwolą mi wyjść na zewnątrz.

– Ależ jest taka zimnica! – wykrzyknęła pani Starska. – Nigdzie nie idź, dziecińko, bo zamarzniesz.

– Chciałabym jednak wysłać list do matki – skłamałam.

– Zostaw go na stole, wyślę jutro w drodze do pracy – obiecał pan Starski.

Podziękowałam i wróciłam na górę, do pokoju, w którym czułam się już jak więzień. Nie miałam ku temu żadnych powodów, wiedziałam, że z zupełnie racjonalnego punktu widzenia nic takiego się nie wydarzyło, ale instynkt, którego dotąd nie posądzałam nawet o istnienie, kazał mi mieć się na baczności.

Za oknem było zupełnie cicho i pusto, nikt nie przechadzał się plażą pomimo przerwy w opadach śniegu. Wszystko wyglądało na martwe, łącznie ze mną – odbicie w lustrze nad komódką pokazywało objawy niewyspania, kręgi pod oczami i przetłuszczone włosy.

Boże, jak tęskniłam za Leonem. Jak bardzo chciałam, żeby jego samochód zamajaczył na końcu drogi wiodącej od pensjonatu w nieznane; marzyłam, żeby przyjechał po mnie, zabrał i zawiózł w świat. Może udałoby nam się, gdyby nie apatia, w którą popadłam. Być może odczuł ją jako niechęć, odrazę, ale nawet, jeśli to były niechęć i odraza, to czułam je tylko do siebie samej, nie do niego. Słaba jak bohaterki moich żalonych romansów rozplakałam się cicho, twarz odbicia w lustrze zalała się łzami.

Wtedy wyraźnie usłyszałam obecność w pokoju obok mojego. To już nie były urojenia wywołane zmęczeniem ani irracjonalnym lękiem, tylko prawda – nie wiedziałam, co państwo Starscy trzymają na poddaszu pensjonatu, czy jest to zwierzę, człowiek czy coś

gorszego od człowieka, ale właśnie jęczało. Zamarłam na moment, wiedząc, że zaraz ktoś przyjdzie, zaalarmowany hałasem, a wtedy wszystko przepadnie – jeżeli poznam ich sekret, nie opuszczę tego miejsca wyrwanego z pocztówki mojego dzieciństwa.

Odruchowo chwyciłam pióro ojca i wsunęłam je za dekolt koszuli. To był najcenniejszy przedmiot, jaki posiadałam, nie tylko z powodów sentymentalnych. Rozejrzałam się też bezradnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni, ale w pokoju nie było nic niebezpiecznego – nawet noża do masła, nawet wieszaka na ubranie. Rozległy się kroki na schodach, drewno podłogi skrzypiało. W okno uderzył wiatr, huknęło jak wystrzał, podskoczyłam, przyciskając zaciśniętą dłoń do serca.

Drzwi mojego pokoju nie otworzyły się jednak, kroki ominęły je i udały się dalej.

Przysunęłam się do ściany sąsiadującej z sypialnią kryjącą przedziwną tajemnicę, przytknęłam do niej ucho i wytłumiłam wszelkie zdroworozsądkowe myśli nakazujące mi uciekać. Byłam pewna, że gdybym spróbowała wybiec na zewnątrz, ktoś by mnie złapał, a nawet jeśli nie, to nie dobiegłabym nawet do miasteczka, byłam na to za słaba po tym, co wydarzyło się z moim dzieckiem. Dlatego zacisnęłam powieki i starałam się nasłuchiwać. Do moich uszu docierały jednak tylko niewyraźne pomruki, musiałam się bardzo postarać, by usłyszeć poszczególne słowa.

Pan Starski mówił do kogoś uspakajającym głosem, jakby chciał złagodzić strach zdziczałego psa albo nieujeżdżonego konia. Paradoksalnie łagodność jego tonu przejęła mnie do głębi jakimś nieznanym dotąd strachem, ale także smutnym wspomnieniem ojca.

– Chciałbym, byś dostała to, czego potrzebujesz – rzekł, i choć nie rozumiałam, co ma na myśli, zburzyła się krew w moich żyłach. – Modłę się, żeby matka wsparła mnie w moich dążeniach i aby ci to pomogło, tak gorąco się modłę...

Reszta słów utonęła w odgłosach domu i zawiei na zewnątrz. Wtedy mój wzrok padł na lustro, zawieszane nieco krzywo, nie do końca równoległe nad komodą, zupełnie tak, jakby coś skrywało.

Sięgnęłam do ramy i cicho, ostrożnie zdjęłam ciężki przedmiot z gwoździ, na których wisiał. Odłożyłam lustro na łóżko, by nie narobić hałasu, i zorientowałam się, że miałam rację – w ścianie za nim ziała niewielka, podłużna szczelina, rozdzielająca kwiatowy wzór starej tapety. Strach wykręcał mi niemal trzewia, ale zbliżyłam się do zakurzonej komódki, oparłam na niej dłoń i zbliżyłam twarz do dziury w ścianie.

Scena, którą obserwowałam z ukrycia, tonęła w półmroku, bo w środku paliła się tylko jedna lampa, widziałam zatem jedynie zarys pleców pana Starskiego, odwróconego do mnie tyłem i metalową ramę łóżka, jedyne mebla w sypialni za ścianą, na którym ktoś

leżał. Natychmiast pojęłam, że to Józefina, bo choć nie widziałam jej od tak wielu lat i zapamiętałam jako dziewczynkę, nie mógł to być nikt inny. Miała niegdyś włosy bardzo podobne do moich, i to po ich barwie ją rozpoznałam – choć niewiele z nich zostało – gdyż z ciała nie dało się wyczytać tożsamości dziewczyny ani nawet tego, czy jest w ogóle człowiekiem.

Józefina była przypięta do łóżka skórzanymi paskami krępującymi jej ręce i nogi. Nie miała na sobie ubrań, co zszokowało mnie i zdziwiło – na początku pomyślałam, być może wzięło się to z moich własnych doświadczeń, że rodzi albo roni, jednak to nie była prawda. Wyrwała się, rytmicznie podrywając się do góry na nagim, poplamionym materacu i opadając na niego – te właśnie odgłosy słyszałam wcześniej. Usta dziewczyny były zakneblowane, jej nieskładnych jęków nie dało się zrozumieć. Była też przerażająco chuda, tak bardzo, że pomyślałam z trwogą, że nie powinna już żyć. Sama straciłam na wadze, od dawna jadłam mało i rzadko, jednak Józefina była potworna, tak obscenicznie kanciasta, że zebrało mi się na wymioty. Włosy miała krótkie, ale nierówne, całkiem tak, jakby ktoś obcinał je tępym nożem albo jakby były powyrywane, a skórę ziemistą i żółtawą. Przycisnęłam dłonie do ust, by nie krzyknąć.

Wtedy drzwi do mej sypialni otworzyła pani Starska.

– Na co patrzysz, aniołeczku? – zapytała i nie doszukałam się w jej tonie ani odrobiny złości, ledwie smutek. Spojrzałam na nią przerażona. – Widzisz, nasza córka, biedna Józefina, jest bardzo chora. Tak bardzo, że jeśli wypuścimy ją z domu, a nawet z pokoju, zrobi sobie krzywdę. Dlatego musi być chroniona, zamknięta na klucz i pilnowana przez cały czas. Rozumiesz?

Skinęłam powoli głową. Zastanawiałam się gorączkowo, czy ta kobieta i jej mąż są chorzy, poważnie chorzy, jak ludzie ze szpitali psychiatrycznych, o których piszą w gazetach, czy mają rację i postępują dobrze, czy też może śnię i to wszystko jest następnym koszmarem.

Nie byłam pewna, co ze mną będzie i czy to nie są moje ostatnie chwile. To, co pan Starski powiedział do córki brzmiało, jakby pragnął mnie w jakiś sposób poświęcić. Czy tak właśnie kończyli wszyscy goście pensjonatu, odkąd Józefinę dotknęła przedziwna przypadłość, na którą cierpiała, czymkolwiek była?

Pani Starska podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę, a ja, sparaliżowana lękiem i niepewnością, pozwoliłam się poprowadzić pod drzwi sąsiedniego pokoju. Były otwarte; wewnątrz, nad łóżkiem, które widziałam przez szczelinę, stał pan Starski. Wycierał Józefinie twarz ręcznikiem.

– Co ona tu robi? – zapytał ostro, patrząc na mnie. Poczułam w gardle żółć. – Myślałam, że nie chcesz zgodzić się na moją propozycję.

– Nadal się na nią nie zgadzam. Ale ona i tak wszystko widziała i zasługuje, żeby wiedzieć – odparła pani Starska, popychając mnie lekko do przodu. Oszołomiona, zbliżyłam się o krok w stronę łóżka Józefiny i dostrzegłam coś, co przedtem kryło się w półmroku.

Dziewczyna była pokąsana. Chude ciało miała poszarpane zębami w bardzo wielu miejscach; zdarte pasy skóry na łydkach wąskich jak moje nadgarstki, niezaleczone, krwawe dziury pełne zakażonej masy na rękach. Brakowało jej kilku palców u lewej dłoni i połowy jednej piersi, i tak prawie zupełnie płaskiej. Fala wymiocin podeszła mi do gardła, z najwyższym trudem utrzymałam kwas w ustach.

– Czy wiesz, co jej dolega? – zapytała z bezbrzeżną rozpaczą pani Starska. Pokręciłam głową, otumaniona i obolała, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce, choć coś mówiło mi, że nigdy nie wyjdę z tego pensjonatu i Leon ani matka już o mnie nie usłyszą.

Pan Starski sięgnął do twarzy swej córki, zdjął z najwyższą delikatnością sztywny od krwawej piany knebel z jej ust. Nie miała warg, były jedynie strzępami bladej, pozbawionej krwi skóry, a spod jej odwiniętych płatów wychylały się nieliczne zbrązowiałe zęby i język pokryty białym nalotem. Pomyślałam, że musi chcieć jej się pić, ale nim skupiłam się na tej myśli, Józefina odezwała się i przysięgam, że nigdy nie słyszałam głosu bardziej udręczonego niż jej głos w tamtej chwili.

– Głodna – wyjęczała, potwornie przeciągając słowa, jakby chciała je przemielić w ustach i pożreć, jakby nieludzkie stworzenie udawało tylko, że przemawia jak człowiek. – Jeść!

Pani Starska załkała, przyciskając palce do oczu.

– Co się jej stało? – wykrztusiłam z trudem.

– Pojechała z narzeczonym zwiedzać świat – oznajmił pan Starski, patrząc w ścianę; jego żona ciągle szlochała. – Pisywała do nas często, dając znać, że dobrze sobie radzą. Zwiedzali wiele miejsc, ciepłych i egzotycznych, ale też zimnych, w których noce trwają wiele miesięcy.

Widziałam, jak zaciska się jego kwadratowa szczęką. Józefina nadal jęczała przeciągle, ale agonalnie i cicho, i chociaż był to straszny dźwięk, budził także litość. Miejsce i czas, w których się znalazłam, były dla mnie surrealistycznie niemożliwe, wprost absurdalne – a raczej byłyby, gdyby nie to, że leżała przede mną niemalże zagłodzona na śmierć młoda dziewczyna.

– Nie wiemy, co dokładnie się zdarzyło i gdzie, na którym etapie podróży – ciągnął pan Starski. – Ale kiedy Józefina wróciła do domu, zachowywała się inaczej, jak gdyby nas nie znała. Uciekała od nas, ukrywała się w ciemności. Nie wrócił z nią narzeczony i powiedziała nam, że się rozstali. Tak, na początku jeszcze była w stanie mówić i powtarzała wciąż, że źle się czuje... Lekarze nic nie pomagali, sugerowali początkowo, że cierpi na dziwną odmianę wścieklizny, a następnie nawet, że jest chora na głowę. A ona wciąż nie spała, nie mogła patrzeć na światło, nie jadła. Zwracała wszystko, absolutnie wszystko, co jej dawaliśmy, nawet wodę. Pluła krwią. A potem, zostawiona samej sobie na noc, zjadła własne palce, jeden po drugim, zostawiwszy jedynie kości.

Pan Starski płakał, widziałam łzy lśniące na jego twarzy. Prócz wszechogarniającego lęku czułam dla niego ogromne współczucie, jednak wiedziałam dobrze, że nic nigdy nie będzie w stanie ukoić jego cierpienie i że nic nie mogę zrobić.

– Przypięliśmy ją do łóżka pasami, żeby się nie skrzywdziła, ale krzyczała wtedy w bólu – szepnęła pani Starska – i ilekroć staraliśmy się ją uwolnić, wciąż próbowała gryźć siebie i nas, powtarzając, że jest tak strasznie głodna. Atakowała jak owładnięte furją zwierzę, czasem udawało jej się zrobić nam krzywdę. Jednak najbardziej krzywdziła siebie samą. Wobec tego wszystkiego zamknęliśmy pensjonat, a Józefinę trzymaliśmy tutaj pod kluczem, pilnowaliśmy jej prawie przez cały czas i opiekowaliśmy się na miarę naszych możliwości. Wzywaliśmy lekarzy, księży i wróżów, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co ją trawi, co sprawia, że nie może jeść, ale mimo to nie umiera...

– Ktoś w końcu dał nam odpowiedź, lecz niewyczerpującą – powiedział pan Starski, wbijając wzrok w córkę. Józefina leżała bez ruchu, wymęczona próbami oswobodzenia kończyn, z głową odrzuconą do tyłu i szeroko otwartymi oczami pozbawionymi rzęs. – Powiedziano nam, że naszą córkę zasiedliła istota, która nie ma nazwy i której nikt nigdy nie widział w tych stronach świata. Istota pochodząca z najciemniejszych, lodowatych nocy i pustkowi, która żywi się wyłącznie ludzkim mięsem. Prawie pewne jest, że w którymś z krajów, do którego zawędrowała Józefina, coś wśliznęło się do niej. Czymkolwiek jest, żyje w niej nadal, i nie pozwala jej biednemu ciału odpocząć. I nie ma na to lekarstwa.

– Nie da się nic zrobić? – wyjąkałam. Dziewczyna przewracała wytrzeszczonymi oczami; jej dłonie były wykrzywione, pozostałe palce pozbawione paznokci, rozcapierzone i poczerniałe, jakby nie krążyła w nich ani kropla krwi. A mimo to poruszała nimi, powoli, hipnotyzująco, jakby wabiła mnie bliżej.

– Póki ta istota jest wewnątrz niej, nie. Nikt nie potrafi nam pomóc.

Pani Starska chwyciła konwulsyjnie podrygującą dłoń Józefiny, która tak okrutnie mnie brzydziła, i ścisnęła ją w matczynym geście. Józefina otworzyła usta i wrzasnęła ochryple.

– Jeść! – Ciemne żyły na jej odchylonej, żółtawej jak wosk szyi nabrzmiały, zaczęła charczeć tak, jakby się dusiła, ale z jej ust wyciekła tylko odrobina żółtej, spienionej śliny.

– Dlaczego mnie tutaj wpuściliście? Czemu nie kazaliście mi odejść? – wydusiłam.

– Spróbowaliśmy już wszystkiego, żeby pomóc Józi – odpowiedział pan Starski. – Ale ona wciąż domaga się tego samego. Nie potrafi już składnie mówić, nie wie, kim jest. Jedyne, o czym pamięta, to głód. On ją opętał do reszty. Nie mogę pozwolić jej, by posiliła się mną i moją żoną, kto wtedy opiekowałby się nią przez resztę życia? Musimy sprawować nad nią pieczę, chyba to rozumiesz.

Rozumiałam aż za dobrze, co się dzieje, ale nie potrafiłam uciec z tamtej ciemnej sypialni, choć być może miałabym szansę, gdybym pobiegła do wyjścia, gdy państwo Starscy stali pogrążeni w smutku. Pojęłam, że chcą nakarmić mną swoją córkę, była to dla mnie myśl jasna jak słońce, nieobecne w ten zimowy, mroczny dzień, mój ostatni.

– Nie zgodziłam się z mężem, chociaż patzenie, jak Józefina cierpi, odbiera mi zdrowe zmysły – mruknęła pani Starska. – My jesteśmy dobrymi ludźmi. Nie ma żadnej gwarancji, że to odniosłoby skutek, a ja nie potrafiłabym spojrzeć sobie w oczy. Nie, nie jestem mordercą i mój mąż także nie jest.

Natychmiast pojęłam sens jej słów, mój umysł uchwycił w lot, że jednak nie ziszczą się me najgorsze obawy. Nie powstrzymałam łez, trzęsłam się jak w febrze, patrząc to na pana Starskiego, który z zamkniętymi oczami szeptał coś pod nosem, to na panią Starską, która łkała, gładząc szponiastą, suchą dłoń istoty niegdyś będącej jej dzieckiem.

– Córeczko, tak bardzo cię przepraszam – wyszeptała pani Starska, zbliżając usta do ucha Józefiny, która kłapnęła zębami z odrażającym chrzęstem, a potem wstała, szarpnęła mnie za ramię i wypchnęła z pokoju. – Idź stąd. Nie patrz na nią więcej.

Ale ja spjrzałam jeszcze po raz ostatni, nie mogąc się powstrzymać. W odruchu pisarki kreśliłam w umyśle kontury tamtej sceny, słowa same przychodziły do mnie i wypełniały mi głowę, tętniąc jak choroba. Pamiętam te słowa, które najmocniej spoiły się z widokiem wychudzonego ciała: mięso, tłuszcz, zęby, lęk. Głód. W końcu śmierć. Wszystkie wypisane krwią na skórze, jak podczas pogańskiego rytuału, którego nie da się zrozumieć bez popadnięcia w szaleństwo, odbite w lśniących, okrągłych oczach dziewczyny, której już nie było w tym ciele. Jej oczy błyszczały jak paciorki bez choćby jednej iskry istnienia.

A jednak coś w niej istniało.

Byłam w takim szoku, że pani Starska musiała spakować dla mnie moje własne ubrania i niedokończony pierwszy rozdział powieści. Wyprawiła mnie na pociąg, podając nawet godzinę odjazdu i peron, ale ja nie słuchałam i dlatego niemal się zgubiłam. Pożegnałam ją uściskiem dłoni i rozplakałam się, a łzy zamarły mi na policzkach, gdy wyszłam przed pensjonat, w którym gościła śmierć.

Powiedziała mi na odchodne, że nikt mi nie uwierzy, jeśli nawet powiem komuś o potworze wyjadającym ciało od środka i domagającym się ludzkiego mięsa. Miała rację, nie mogłam nikomu opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. Brzmiało to wszystko jak bajka, którą straszy się niegrzeczne dzieci, albo chora fantazja pisarza nie lepszego niż ja.

Wróciłam do domu, w którym nie było Leona, powitana przez gospodynię Dobrosławę, dokończyłam rozdział i przesłałam go do wydawcy. Wysłałam też list do matki, bardzo krótki, w którym prosiłam o telefon albo odpowiedź, i pisałam, że ją kocham.

Odpowiedź na żaden z tych listów nie przyszła, nadeszła za to inna wiadomość. Była już jesień roku 1953, a ja pogodziłam się z tym, że oszczędności kurczą mi się w zatrważającym tempie, Leon nie powróci, a ja jestem zupełnie sama.

Otworzyłam list od pani Starskiej z duszą na ramieniu, siedząc przy oknie, za szybą którego bębnił o liście gęsty, zimny deszcz. Przeczytałam krótką, skreśloną rozedrganą dłonią wiadomość o śmierci Józefiny, a także najlepsze życzenia od pani i pana Starskiego. Oby mi się wiodło, pisała przyjaciółka mej matki, obym była szczęśliwa i nie zaznała nigdy bólu, jakiego oni musieli doznawać.

Spaliłam list, a później usiadłam przy biurku i napisałam wiersz. Był do niczego.

\*\*\*

Jest marzec 1954 roku. Spisuję te słowa odręcznie, bo wiem, że maszyna do pisania – choć praktyczna – nie pozwoli mi przenieść na papier tych wszystkich emocji, które czuję, tak dobrze, jak uczyni to moja własna niepewna dłoń. Litery są bardziej chwiejne niż kiedyś, podobnie jak ja; moje lęki nie kryją się już w cieniach domu, nie pełzają w nich, a stoją o własnych nogach.

Nie pamiętam, którego dokładnie dnia się to wydarzyło, ale odesłałam Dobrosławę. Nie mogłam dłużej pozwolić na to, aby przy mnie przebywała i narażać jej na coś nieuchronnego.

Jem powoli, dopóki piszę tę historię, muszę to robić, aby nie oszaleć. Dzięki temu zachowuję zdrowe zmysły, przynajmniej na tyle, aby móc trzymać pióro mego ojca. Wiem,

że jeżeli przestanę jeść, oładnie mnie nieludzka i nieposkromiona żądza, której nie będę w stanie się przeciwstawić i wiem, że ona jest już we mnie, tak jak była w Józefinie, i skądkolwiek przysła w jej ciele, z jakiegokolwiek zimnej, mrocznej nocy się narodziła – nie odejdzie. Zagnieździła się głęboko i tkwi tam, w środku, a ja muszę jeść, bo inaczej stanę się zwierzęciem w zwierzęcym ciele.

A więc jem. Żuję i przełykam bardzo powoli, aby mi siebie wystarczyło do końca tej opowieści.

Ciekawi cię, czy to boli? Oczywiście. Wrywam sobie samą kawałek po kawałku ludzkimi, tępymi zębami – to nieopisana męczarnia. Robiłam to już kiedyś, wykrawając ze swojego umysłu słowa, próbując zmusić je do uległości jak każdy pisarz, ale przekonuję się z każdym dniem na nowo, że to nie to samo, a ból fizyczny jest nieporównywalny do tego, który czułam przedtem.

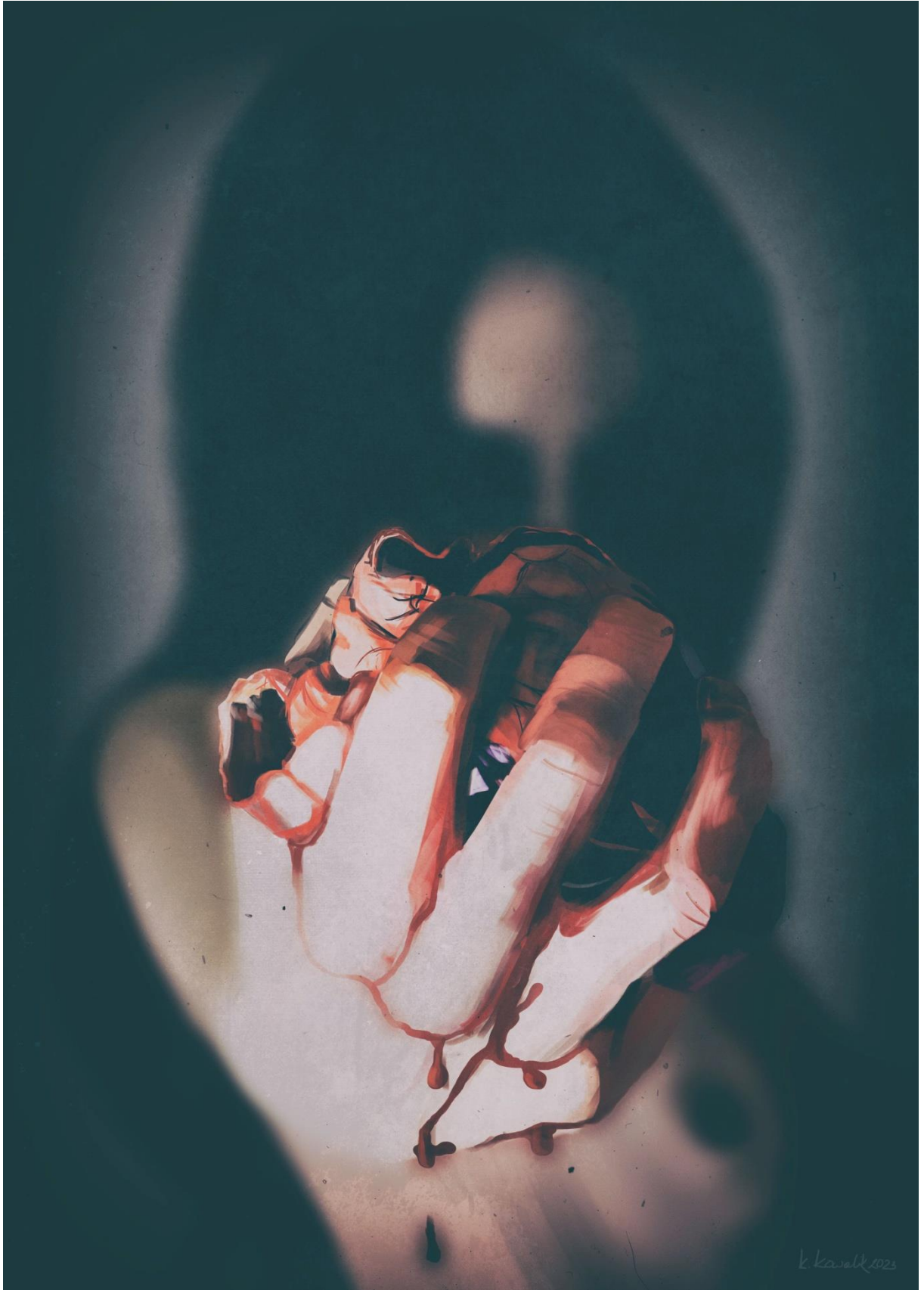
Jednak znajduję pocieszenie wiedząc, że to już prawie moje ostatnie słowa, prawie ulga.

Pokładam ogromne nadzieje w tym, że ta istota, to stworzenie, które wałęsało się po lasach i ostępach w miejscach, o których nie słyszał człowiek, a później znalazło swego żywiciela i zarazem więzienie, odejdzie razem ze mną. Liczę na to, że jest śmiertelne, choć nie mam pewności.

W ten sposób docieram do końca. Niewiele już ze mnie zostało żywego mięsa, więcej krwawego upiora; niewiele jest we mnie z człowieka, ale umysł mam jasny i wierzę, że kiedy woda zamknie się nad moją głową, przestanę wreszcie być głodna.

Liczę na to, że takie istoty toną.





# OCZY, KTÓRE NIE WIDZĄ

Sylwia Błach

Chciała, by ją zauważył. To był ten etap związku, o którym nie mówią żadne filmy. Komедie romantyczne kończą się na „żyli długo i szczęśliwie”, nieliczne thrillery małżeńskie przedstawiają parę po przejściach, z bagażem doświadczeń i diabłem, który wkrada się w ich codzienność.

Osiem lat razem, osiem słodkich lat pełnych bukietów-niespodzianek, wspólnych kolacji i dzikiego seksu. Osiem lat bez wrzasku bachorów, bo obojgu daleko było do wizji tradycyjnej polskiej rodziny, osiem lat pełnych wspaniałych podróży, gdyż stwierdzili, że są zbyt młodzi, by nie zobaczyć kawałka świata.

Oni. Ona ogień, płonąca pasją i marzeniami. On woda, jej ostoja, gasząca pożary życia i kojąca spopielone emocje. Pasowali do siebie, czuli się szczęśliwi. Przez jebane osiem lat kipieli radością, aż w końcu zrozumiała, że zgubiła gdzieś kobietę, którą była.

Kobietę pożądaną.

Zaczęło się niewinnie, jak w każdym związku, o którym nie mówią żadne książki – przyzwyczajając się do swoich ciał, widząc codziennie swą wzajemną nagość, przytulając się i kłócąc bez przyczyny, nie zauważyli, że zdeptują żar. Niewielki, ale jednak płonący żar namiętności.

Odkryła to w dniu trzydziestych urodzin: gdy chciała spędzić czas, pieprząc się bez tchu, ale jego dotyk nie wzbudzał podniecenia jak kiedyś, a wzrok uciekał gdzieś w dal, jakby kochając się z nią, podróżował przez wewnętrzne galaktyki. Jakby chciał zapomnieć obraz jej rozszerzonych z podniecenia ust, a może nawet gardził jej jękami, gdy myślała, że zaraz dojdzie, ale on doszedł pierwszy i zabawa straciła na znaczeniu.

Tworzyli udaną parę, nie zaprzeczała i nie wątpiła. Ale chciała odzyskać namiętność, na którą jeszcze było ją stać, która spływała po jej skórze niczym ejakulat po podnieconym członku. Drżała z pragnienia. Do każdego mężczyzny mijanego na ulicy, który uśmiechnął się na widok jej krótkiej spódniczki. Do złego chłopca, który z petem między ustami wychynał

z ciemnej bramy, gdy wracała do domu po zmroku. Do tego przystojnego aktora gwałcającego swoją żonę w filmie ponoć fabularnym. Ale nie do mężczyzny swojego życia, który oddałby jej wszystko, ale im bardziej okazywał miłość i czułość, tym mniej żaru w niej było.

Pragnęła ostrego, dzikiego, niebezpiecznego seksu. I wiedziała, że on to potrafi. Dawał jej to przez te lata, gdy się uwodzili, odkrywali, poznawali, gdy chcieli doświadczyć swoich ciał, walczyli o przewagę, a ona z rozkoszą poddawała się jego sile. Dawała się wypełnić jego fantazjom, przyjmując w pochwę nie tylko rozgorączkowanego członka, ale też kulki gejszy, wibrator i niewielkie, zdalnie sterowane jajko. Czasem osobno, ale częściej wszystko razem.

Dużo rozmawiali, a ona między słowami wplatała zdania, które miały zmienić przyszłość. Potem próbowała flirtować z jego kolegami na jego oczach, ale był zbyt ufny, by posądzić ich o złe zamiary. Wracała do domu później, mniej mu mówiła, ubierała się bardziej wyzywająco. Wszystko na nic: kochał ją. A jeśli kochasz, to ufasz.

Tylko dlaczego ufność odbiera ludziom wzrok?

Musiał ją dostrzec. I po miesiącach podchodów, chwytania go za krocze w publicznych miejscach, szeptania do ucha zbereźnych słów i najwyżej przeciętnie przyjemnego seksu... Po tym, jak przefarbowała się na rudo, choć całe życie była blondynką, i po tym, jak w przypiływie desperacji i pod wpływem dwóch lampek wina przywitała go przykuta kajdankami do łóżka i dostała w zamian szybki nieznaczący seks pełen pustych niewidzących spojrzeń, zrozumiała, co musi zrobić. Pozostało wymyślić: jak.

\*\*\*

Uśmiechnęła się do swojego odbicia. To był nowy rytuał. Starła się codziennie patrzeć na siebie w lustrze i mówić, że siebie kocha. Uwielbia. Dlatego co wieczór zamykała się w łazience i dotykała swojego ciała, kawałek po kawałku. Jeździła dłońmi po pięknych wypukłościach i po mniej jędrnych krągłościach. Otwierała usta w szerokim, absolutnie nienaturalnym uśmiechu, wybuchała śmiechem i pieściła się, wywołując spazmy, których już dawno jej partner nie widział. Ciągle miała w głowie słowa koleżanek. Gdy tradycyjnie, jak co piątek, w zadymionej knajpce nieopodal starówki sączyła z dziewczynami wino, jedna z nich powiedziała: „Miłość jest ślepa”, a druga zawtórowała: „Prawdziwie zakochani patrzą sercem, nie oczami”. Nie pamiętała już, czy pierwsza pożyteczna bzdura wypłynęła z ust Zosi, a druga Joli, czy na odwrót. Zbyt wiele alkoholu wlała w siebie tamtej nocy, by dostrzec takie detale. Jednego była pewna: przyjaciółki chciały pomóc, pocieszyć ją, naprawić, tak jak naprawia się stłuczoną zabawkę. Posklejać taśmą w pijackim widzie, sypiąc banałem za

banalem. Zmierzały donikąd, kobieta pozostawała odporna na słowa – aż do chwili, gdy wypowiedziały pamiętne: „Miłość jest ślepa, niektórzy patrzą sercem”.

Uniosła przymknięte powieki. Może właśnie tym była miłość? Choć z ust Zosi i Joli rzadko wypływało coś mądrego, tym razem dały jej wskazówkę, radę, która choć była jedną z wielu sztamp, które mówi się załamanej przyjaciółce, jedną z tych, które powinny mieć tę samą moc, co wszystkie inne pocieszania, „ojojania” i tulenia, jednak skrywała coś więcej.

Mijały dni pełne takich samych pobudek i uśmiechów pełnych nadziei. A kobieta, z każdą nieudaną próbą zainicjowania podrywu, coraz dosadniej czuła, że rozumie ukryty sens tych słów.

Jej ukochany oślepl na jej wdzięki. Ciągłe trzymał ją za rękę, ciągle zapewniał o miłości, ale stracił wzrok, tak jak ona teraz, gdy znów przymknęła oczy, by ukochać siebie samą swoim sercem. Przestała patrzeć na odbicie, była tylko ciemność i miłość do siebie samej, ciemność i dłoń błędząca między lekko rozchyłonymi udami. „Kochaj sercem” – wyszeptała, nim delikatnymi muśnięciami rozpałała clitoris do czerwoności. I choć w kolejnym wyuczonym odruchu chciała unieść powieki, by ujrzeć swoją płonąca namiętność, powstrzymała się. Jedyne, co rozchyliła, to wargi, pozwalając, by oddech, na równi ze zwinnymi dłońmi, przyspieszył... A pod powiekami rozbłysły pasma koloru, tęcza barw nazywana samoukochaniem. Przytrzymując się zlewu, osunęła się na ziemię. Tonęła w czerni, a pasma przebiegającej pod powiekami krwi układały się w szalone kształty ludzkich, złączonych w namiętności, ślepych na człowieczeństwo ciał.

W końcu zrozumiała, co powinna zrobić. Nim ostatnia fala orgazmu zepchnęła ją w objęcia łazienkowego dywanika, powzięła decyzję. Tak bardzo chciała być znów zakochana.

\*\*\*

Nie wahała się ani sekundy – jej plan był dokładny i szczegółowy, a tylko najwyższy poziom determinacji mógł doprowadzić ją do celu – ponownego ujrzenia miłości w oczach ukochanego. Dodała narkotyki do drinka, powiedziała kilka banałów, a gdy słowa ukołysały ukochanego do chemicznego snu, ułożyła zwiotczone ciało na płytkach pokrytych folią. Chwilę się z nim szarpała, tego nie było w planie, ale nie przewidziała, że Michał osunie się z krzesła prosto na jasne kafle z piaskową fugą. Musiała rozłożyć folię, wepchnąć jego zwiotczone ciało na nią i cały czas szeptać: „Nic się nie stało, wkrótce znów mnie dostrzeżesz...”. Sprawnym ruchem przecięła skórę na klatce piersiowej. Krew chlusnęła na jej ręce, zatańczyła szkarłatną plamą na rękawie białej sukienki. Kobieta zakłęła, zrywając

z siebie odzież. Nie miała bielizny i choć pierwszy nadszedł rumień zawstydenia, to szybko uznała, że dokładnie taką powinien ją ujrzeć. Nagą, bezbronną, całkowicie mu oddaną.

Dalej poszło sprawnie: przecinała kolejne tkanki, żebra rozcięła nożycami do prętów znalezionymi w położonym na krańcu miasta narzędziowym. Ten zakup dokładnie przemyślała, wiedziała, że będzie musiała je potem ukryć i że jeśli coś pójdzie nie tak – będą szukać narzędzia zbrodni u źródła. Dlatego kilka dni wcześniej, zamiast iść do pracy, wsiadła w obrzydliwy autobus jadący na przedmieścia i kupiła nożyce.

Gdy już wyrwała wszystkie tkanki, rozchyliła kości, gołymi dłońmi wyciągnęła mięśnie i narządy, których nazw nie znała – dostrzegła je. Czerwone, jeszcze żywe, w niczym nieprzypominające organu znanego z walentynkowych kartek. Poczowała zawód, ale przecież to nie kształt, a oczy były najważniejsze.

„Prawdziwie zakochani patrzą sercem”.

Musiała mieć pewność, że Michał ją kocha. Naprawdę. Nie tak jak inni, którzy obiecywali złote góry, a potem ginęli od cyjanków i innych trucizn. Nienawidziła kłamców.

Szarpnęła organ, olbrzymi i gorący, objęła go palcami, ścisnęła pełna nadziei, obróciła, raz w jedną, raz w drugą stronę, coraz bardziej chaotycznie wrywając go z martwego ciała, zrywając ostatnie połączenia z organizmem kochanka, przerywając tętnice, arterie, niszcząc wszystko, co stanęło na jej drodze, by unieść wielkie serce, unieść na wysokość rozgorączkowanej twarzy, obejrzeć, ścisnąć, przewrócić i załkać... Serce nie miało oczu.

„Kolejny kłamca” – pomyślała, odkładając organ na otwartą dłoń Michała. Spojrzała prosto w jego puste oczy, w ostatnim geście żalu zakrwawionymi palcami zamknęła mu powieki... I choć nie odkryła uczucia, które sobie wyśniła, to wiedziała, że któregoś dnia prawdziwa miłość nadejdzie. Z tym przekonaniem zabrała się do sprzątnięcia...

\*\*\*

Miał serce na dłoni, ale nie czuł nic więcej. Żadnego przypływu miłości, dobroci czy zrozumienia – tylko niezwykły ból, który przecież nie miał prawa rozbrzmiewać w martwym ciele, a jednak grał serenadę jego końca. Kiedyś był na koncercie mis tybetańskich. Nawiedzony prowadzący opowiadał o koncertach granych na salach szpitalnych, by towarzyszyć ludziom w odejściu z tego świata. Mówił o rozedrganym dźwięku bębnów, który prowadzi duszę ku drugiemu światu, bo przecież dusza żyje w człowieku jeszcze przez czterdzieści minut od śmierci pnia mózgu.

Słuchał tych historii i śmiał się. Teraz nie było mu do śmiechu, bo czuł ból, słyszał śpiew krwi wypływającej z rozerwanej klatki piersiowej, a żadne dzwony ani misy nie wskazywały mu drogi... Była tylko serenada cierpienia. I żał, że ostatnie, co zapamięta, to zawód na twarzy ukochanej. Jedynej kobiety, której oddał serce.



k. kowalk 2023



# OTWORZYSZ DRZWI SŁOŃCU

Martyna Konwińska

Całe niebo jest różowe. W koszmarnej poświacie jej skóra wydaje się całkowicie biała, a nieregularne skały, po których przeskakuje z trudem, połyskują srebrzyście. W ustach czuje metaliczny posmak, a w skroniach ćmienie.

Zoria porusza się powoli, uważnie stawiając kroki. Zmęczone dłonie kurczowo ściskają ramiona plecaka. Idzie przez stromy szlak, ciągnący się wzdłuż skalnego rumowiska. Kamienie pod jej stopami kołyszają się leniwie. Szczyty dookoła przelewają się i pochylają nad nią. Obserwują każdy kolejny ruch. Jest nienaturalnie gorąco, na jej czole perli się pot. Ustał wiatr. Mająca w oddali kosodrzewina przypomina zastygłą, czarną magmę.

Chociaż dookoła panuje martwa cisza, w jej głowie wrzeszcza świerszcze bólu i zmęczenia. Przeciągły pisk miesza się z mdlącym szumem pulsującej krwi. Co jakiś czas przed jej oczami wykwitają czarne plamy. Innym razem omdlewające mięśnie objawiają się pod postacią ostrej bieli, odbierając jej wzrok. Wtedy przystaje na chwilę, czeka aż kształty i kolory wrócą powoli na swoje miejsce.

Unosząc stopę do następnego kroku, zahacza czubkiem skórzanego buta o ostrą krawędź skały. Traci równowagę i upada ciężko na kolana, opierając się dłońmi o chropowaty, rozgrzany kamień. Z plecaka dobiega ostrzegawcze miauknięcie. Nie mając siły udźwignąć własnego ciężaru, przetacza się mozolnie i zrezygnowana siada w miejscu swojej porażki. Otrzepuje dłonie i kolana z drobinek piasku. Na jej skórze wykwitają krople krwi, jak wtedy, gdy dawno temu zdierała kolana, jeżdżąc na wrotkach i wdrapując się na drzewa.

Zwiesza nogi w stronę przepaści i zdejmuje plecak, odwracając się w stronę osuwiska. Ciemnozielony materiał wydaje się teraz stalowoszary. Odpina metalowe zatrzaski, a spod klapy wychyla się trójkątna, czarna główka i dwoje złotych oczu, które nad różowym niebem przybrały barwę dojrzalej pomarańczy. Powolnym, zmęczonym ruchem głaszcze kotkę za



uchem, sięga do zewnętrznej kieszeni plecaka i wyciąga pomietą paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Kiedy zaciąga się dymem, przerażające mrowienie, które czuje w całym ciele, wzmagą się gwałtownie.

Przymyka oczy i odchyła głowę do tyłu. Kotka delikatnie liże jej palce. Jaki piękny koniec świata.

Obejmując plecak jedną ręką, obraca się za siebie. Przez krótką chwilę patrzy w miejsce, w którym róż nieba zmienia się w krwistą czerwień. Kilka sekund wystarczy, żeby poczuła bolesny ucisk w oczodołach. Zamyka oczy i zwiesza głowę, próbując opanować narastającą falę mdłości.

– To już naprawdę niedaleko – mówi zachrypłym głosem. Z trudem przełyka ślinę, a kotka uspokajająco przymyka oczy. – Obiecuję, że zdążymy.

Gasi papieros, pocierając nim o kamień i rzuca niedopałek w piach. Jeszcze dwa tygodnie temu by tego nie zrobiła. Gdyby cofnęła się zaledwie o kilka dni, pomyślałaby o mikroplastiku zabijającym dżdżownicę i hamującym wzrost roślin, o uszkodzonym DNA piskląt, których matka uwiła gniazdo z celulozowych filtrów, wypełnionych metalami ciężkimi, arsenem i formaldehydem. Zateśkniła za dniem, w którym obliczała swój własny ślad węglowy, martwiła się skutkami zmian klimatycznych i przejmowała śmiercią zwierząt hodowlanych, za chwilą, w której cokolwiek miało znaczenie. Za śpiewem ptaków, zapachem miasta po deszczu i błękitem nieba. Zapięła klapę plecaka, z ogromnym trudem podźwignęła się na nogi i ruszyła do przodu.

W wiadomościach mówili, że panika nie jest wskazana. W spokoju upiekła więc ciemny chleb, którego zapach rozchodził się po całym domu. W spiżarni miała pięć słoików dżemu z jagód, a w lodówce trzy kartony mleka. Siedząc na kanapie oglądała wiadomości, patrzyła na pustoszące ulice i sklepowe półki. Kot cicho mruczał, siedząc na jej kolanach. Kroiła grube kromki ciepłego chleba i łyżką nakładała słodkie przetwory. Przecież doskonale wiedziała, że to się tak skończy. Od kilku miesięcy żyła z dojmującą świadomością zbliżającego się kataklizmu, która wywoływała u niej mieszankę niezdrowej ekscytacji i obezwładniającego spokoju.

Jako bibliotekarka Zoria zarabiała niewiele, więc po godzinach dorabiała sobie jako wróżka. Wieczory spędzała na liczeniu horoskopów i stawianiu kart tarota. Analizowała układy planet, patrząc na swoich klientów jak na obrazki w książce, zaglądając do ich wnętrza niczym chirurg rozplatający brzuch. Wiele miejsc w kosmogramie wskazuje na możliwą przyczynę śmierci. Trzeba tylko być uważnym, aby umieć je zlokalizować. Wielokrotnie

natrafiając na ósmy dom astrologiczny zamieszkały przez Saturn, Zoria odczuwała przykry ucisk w klatce piersiowej. Dom granicznych doświadczeń i jego smutny mieszkaniec.

Każdego człowieka wyobrażała sobie pod postacią drzewa. Interesowało ją to, co znajdowało się pod ziemią. To, jak daleko sięgał ich system korzeniowy, gdzie zjadały go insekty, i w których miejscach splatał się z innymi drzewami. Czytając kolejne horoskopy, coraz częściej odnosiła wrażenie, że stoi pośrodku martwego lasu, wyrosłego na skażonej glebie. Jakby wszystkie korzenie jednocześnie zaczęły wchłaniać truciznę, powodując obumieranie tkanek. Z góry przewidziana katastrofa sączyła się przez system przeszłości, po pień terażniejszości i koronę przyszłości. Cały ten pejzaż namalowany przez jedną planetę, która znalazła się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie. Jeden drobny gest wszechświata, który miał połączyć ze sobą wszystkich ludzi.

Zaczęła śnić o zboczach gór, porośniętych białymi, martwymi drzewami. Błądziła po stokach, potykała się, szukając ścieżki pomiędzy wystającymi korzeniami. Budziły ją zimne dreszcze. Następnej nocy wracała znów na uroczysko, drepcząc nerwowo pomiędzy wysokimi pniami, pozbawionymi kory i gałęzi. Odwracała się i patrzyła przez ramię.

Za drzew zaczął wylaniać się świetlisty cień. Początkowo majaczył gdzieś z oddali. Czarna plamka, ledwie dostrzegalna, wychylająca się na ułamek sekundy zza obalonych bali drewna. Za każdym razem zbliżała się nieco, pojawiając niespodziewanie pomiędzy pniami lub na linii horyzontu. Zoria stała wyprostowana, mrużąc oczy w jaskrawym świetle sennego dnia, starając się uchwycić granice cienia, nazwać jego kształt. Wzmagało się w niej uczucie nieodwracalności. Przyciągała do siebie coś paraliżującego, emanującego energią, której nie potrafiła opisać.

Czasami przed snem zatapiała się w urojonych scenariuszach. Lubiła tworzyć katastroficzne projekcje, w których wagony metra stają w płomieniach, słońce zasłaniają chmury samolotów bojowych, a miasta pustoszeją, oblężone nieznanymi dotąd wirusami. Ostateczność tych scen przynosiła jej ukojenie. Chociaż wstydziła się tego, ostateczność tak dramatycznych sytuacji sprawiała, że spływał na nią przyjemny spokój. *To koniec*, myślała wtedy, *nie muszę się już niczego bać*.

Po raz kolejny znalazła się w martwym lesie. Czujna i spięta, wyteżająca wszystkie zmysły. Odwróciła się powoli, a na jej piersi spadł ogromny ciężar. Stał w odległości dwóch metrów od Zorii i chociaż nie miał oczu, wiedziała, że patrzy prosto na nią. Był czystą, błyszczącą ciemnością, o formie przypominającej nieco ludzką. Zdawał się jednocześnie pochłaniać światło i emitować coś, co skojarzyło jej się z promieniowaniem

elektromagnetycznym. Powietrze dookoła niego drgało, potęgując wrażenie mrocznego mirażu. Stali tak przez chwilę, zaglądając w siebie nawzajem.

– Kiedy to się zacznie, będziesz wiedziała – powiedział. Głos nie wydobywał się bezpośrednio z ciemności, a z wnętrza jej głowy. Usłyszała go jak bardzo wyraźną, klarowną myśl. Przeszył ją spazm, a gdy się obudziła, boleśnie odczuwała ciężar swojego ciała. Jakby wypełniona nowym doświadczeniem, zwiększyła swoją masę i teraz tonęła w materacu i wilgotnej, splątanej pościeli. Potem niebo stało się różowe.

W zeszły piątek odebrała telefon.

– Halo?

– Zaczęło się – ze słuchawki dobiegał głęboki, metaliczny głos.

– Tak, wiem – Zoria odsunęła ciężką zasłonę i wyjrzała przez okno. Jej twarz załała różowa poświata. Zmrużyła oczy i zaczęła zastanawiać się, gdzie schowała swój plecak.

– Będę czekał.

– Dobrze. Ruszemy jutro rano.

Tej nocy położyła się wcześniej. Otuliła się sztywną tkaniną, pachnącą krochmałem i letnim wieczorem, czekając, aż przyjdzie do niej sen. Noce stały się świetlicie czerwone, a przez szpary w ciężkich zasłonach do pokoju wlewały się bladoróżowe łuny. Zaciśnęła powieki i przykryła głowę kołdrą, jednak nie opuszczała jej świadomość, że dookoła panuje nienaturalny półmrok. Resztę nocy wpatrywała się w sufit i wsłuchiwała w miarowy oddech czarnej kotki, śpiącej w nogach łóżka. Kiedy zadzwonił budzik, była już gotowa do drogi.

Pociągi wciąż kursowały dzielnie, wioząc puste wagony. Ludzie schowali się w domach, nie wiedząc, gdzie mieliby uciekać. Siedziała więc sama w przedziale. Zaciągnęła welurowe zasłony, wsłuchiwała się w miarowy stukot, poddając kołysaniu. Gdy zbliżała się do stacji końcowej, krajobraz zaczynał falować, wznosząc się i opadając łagodnie.

Szła, przez kolejne dni, szukając miejsca, w którym początek łączy się z końcem. Niosąc na plecach wszystko, co może uratować. Droga przed nią urwała się gwałtownie, docierając do stromych, skalnych stoków.

Skraj kotła porastają kępy dzikich kwiatów. Spośród lancetowatych liści wystają nagie, sztywne łodygi, uginające się delikatnie pod ciężarem podłużnych kwiatostanów. Ich płatki mają chłodną bladoróżową barwę. Rdest węzownik, *Polygonumbistorta*. Zoria pochyła się powoli, wspierając dłoń na kolanie, i zrywa jedną z roślin. Przez chwilę obraca miękką tkanę w palcach, przygląda się jej, po czym rozchyła wargi i kładzie kwiat na języku.

W ustach rozlewa się gorycz. Na karku czuje delikatne mrowienie obcego spojrzenia. Kiedy się odwraca, jej czarne oczy są nienaturalnie szeroko otwarte. Z plecaka dobiega

agresywny syk czarnej kotki. Spośród uschniętych traw wychyla się ciemność, niewielkie rozpadlisko tworzące trójkątne wejście do jaskini. Patrzy na nią przenikliwie, zionąc kojącym chłodem.

Zoria pochyła głowę i przeciska się przez kamienne przejście. Wilgotne zimno przynosi jej ulgę. Jaskinia jest większa, niż wydawało się z zewnątrz. Intensywnie różowa poświata pozwala dostrzec zarys sklepienia i niepokojące zęby stalaktytów, naciekających nad jej głową. Tuż przed nią wykwita ludzki kształt, którego głowa zdaje się zlewać z nienaturalnie długimi ramionami. To najgłębsza ciemność, która mieni się i porusza delikatnie, przypominając rozgwieżdżone niebo.

Temperatura na zewnątrz zaczęła wzrastać. Odwrócona plecami do wejścia czuje, jakby opierała się o rozgrzany piec kaflowy. Intensywny róż zmienia się w krwistą czerwień, popychając ją głębiej, do spokojnej głębi jaskini. Ma ochotę skulić się i zakryć twarz rękami.

– Nie trzeba się bać – głos miękko odbija się o skalne ściany. Dobiega prosto z ciemności.

Zoria zdejmuje plecak i wypuszcza kotkę. Zwierzątko przeciąga się leniwie, mrucząc głęboko i z uniesionym ogonem podchodzi do cienia. Pochyla główkę, wykonując ten sam ruch, którym każdego dnia witała swoją właścicielkę, ocierając się o jej nogi i znika. Wchodzi w połyskującą pustkę, mruczenie staje się coraz odleglejsze, aż zupełnie cichnie.

Świat poza jaskinią zaczyna wibrować. Do wnętrza dociera przytłaczający szum, który stopniowo zmienia się w ogłuszający huk. Czerwień zbliża się nieubłaganie, nie ma na co czekać.

Ciemność wyciąga do niej swoje długie ręce, w troskliwym, zapraszającym geście. Przebyła długą drogę, ale teraz będzie bezpieczna. Znalazła się we właściwym miejscu, we właściwym czasie. W ósmym domu jej horoskopu mieszkał Jowisz, a za jej plecami zachodziło Wieczne Słońce.

– A co będzie potem? – zapytała, gdy cień zbliżył się do niej. Wpatrywała się w jego blask.

– Otworzysz drzwi Słońcu.

Zoria wyciąga dłoń i powoli zanurza ją w ciemności. Jest ciepła i miękka. Robi krok do przodu, sięgając dalej w pustkę, a długie ramiona oplatają się wokół niej, wchłaniając ją powoli. Otula się głębią niby puchową kołdrą, czując przyjemne odrętwienie. Nicość spływa jej po twarzy, wlewa się do nosa i ust, zalewa oczy. Nie trzeba się bać.

\*\*\*

Zoriuszka budzi się z długiego, głębokiego snu. Skulona niczym embrion, leży pośrodku jaskini. Przykrywa ją kurz. Powoli otwiera oczy, rozprostowuje zdrętwiałe kończyny. Wyrząsa pył z włosów i ściera go z twarzy. Na nowo uruchamia mięśnie, ścięgną i nerwy. Bierze płytkie, świszczące wdechy. Po upływie chwili podnosi się niepewnie, wspierając o skalne ściany.

Ostrożnie wychyla głowę przez kamienne wejście. Zniknęła koszmarna czerwień i chorobliwy róż. Świat przykrywa ciężka warstwa białego popiołu. Każdy krok wzburza go i unosi w powietrzu. Wszystko jest dziś srebrzyste, ciche i chłodne.

W stalową szarość czystego nieba powoli wkracza łaskawa, złota zorza. Zza horyzontu wychyla się słońce. Zoria przysłania oczy ręką i przez palce obserwuje nowy świt. Biała kotka ociera się o jej nogi.



# TY, TYLKO TY

Dagmara Adwentowska

Znaleźli go dwaj stajenni, którzy o świcie wyprowadzali na pastwisko Charlotte, ulubioną klacz mego męża. Mój nieszczęsny Lancelot, tak czule mnie miłował, tak bardzo pragnął mnie stąd zabrać. Wisiał na samotnym dębie, prastarym olbrzymie rosnącym pośrodku wonnych łąk. Podobno twarz miał całkiem purpurową, spuchnięty język wypadł mu z ust, a spodnie aż po kolana splamiły cuchnące ekskrementy. Oczywiście, wiem to tylko z plotek służby, być może wyolbrzymionych, lecz musiało w nich być ziarno prawdy. Nie widziałam tego na własne oczy, może to i dobrze, wolę pamiętać Ludwiga, mego Lancelota, jako żywego i pięknego młodzieńca, nie wisielca w spodniach ociekających gnojem, wirującego na konarze groteskowym tańcu rzeczy martwych.

Nie widziałam go też w kostnicy, gdy jego udręczone ciało, już umyte i godnie przyodziane, złożono w modrzewiowej trumnie pośród morza świec. Georg mi zabronił.

– Jesteś moją żoną, Elizo – rzucił ostro, gdy napomknęłam, że chciałabym oddać hołd zmarłemu. – To nie uchodzi. Zostaniesz w domu, dość tych nonsensów.

I wyszedł, obcasy jego jeździeckich butów dudniły echem pod zdobionym stiukami sufitem jak odległy pomruk grzmotu. Jeszcze tego samego wieczora odkryłam, że rozstawił strażę w ogrodzie pod moimi oknami, kazał też strzec drzwi i nigdzie mnie nie wypuszczać. Zostałam więźniem w mych własnych komnatach, za jedyne pocieszenie mając parę ptaszków w misternej klatce. Dar z czasów, gdy Georg jeszcze mnie kochał, zanim jego serce zmieniło się w kamień. Być może zresztą zawsze taki był, beznamiętny i okrutny, a tylko wprawnie udawał w czas naszego narzeczeństwa i kilka miesięcy po ślubie. Ja, naiwna dziełatka, młodsza od niego o połowę, nie zauważyłam oznak zbliżającej się katastrofy, jemu zaś szybko odechciało się maskarady i obnażył się bezwstydnie z całą podłością swego charakteru. Ptaszki, które mi podarował, od dawna nie śpiewały i gdzieś w głębi ducha przeczuwałam, że to znak, iż w tym domu, u boku tego mężczyzny, nie znajdzie się już dla mnie nic pięknego ani radosnego.

Dwa dni później rozspiewały się żałobnie dzwony i ku wzgórz, na którym rodzinny grobowiec mieli nasi sąsiedzi, ruszył smętny, czarny kondukt. To zobaczyłam z okna, gdyż Georg zabronił mi także odprowadzenia doczesnych szczątek mego Lancelota na miejsce pochówku. Siedziałam więc na parapecie, jak wtedy, gdy mnie odwiedzał mój miły w nocy, by wśród ciemności i woni róż wymieniać czułe słówka i gesty. Rozmyślałam, że Schotterowie musieli słono zapłacić, skoro odbyło się nabożeństwo, a Ludwiga chowają w poświęconej ziemi, nie za płotem jak zwykłych samobójców. Lecz w końcu urodził się szlachcicem. I jedynym synem. Tak, naszała mnie w tych żałobnych chwilach myśl, że to jednak nie było samobójstwo, że to Georg zamordował niewinnego młodzieńca, za to, że ośmielił się podnieść oczy na jego żonę, na jego własność. Za ten pojedynek miesiąc temu i za to, że wystawił go na pośmiewisko w towarzystwie. Przypuszczenie rozwiało się jak niesione wiatrem nitki pajęczyn. Tak, niewątpliwie byłby do tego zdolny – lecz Georg lubił wszystko czynić sam. A wszak w noc, kiedy Ludwig się powiesił, przyszedł do mych komnat i został aż do świtu, z twarzą kamienną jak posąg egzekwując powinności małżeńskie.

Czy to jednak ważne? Jest winien tej śmierci, nawet jeśli osobiście nie włożył jego kształtnej głowy w pętlę. Ja zaś straciłam jedyną radość i nadzieję na to, że los mój się odmieni. Zamknięta w mych wystawnie urządzonych pokojach, z tkniętymi niemotą ptaszkami jako jedynym towarzystwem, czułam, że me serce obumiera i ja sama usycham.

Dzień w dzień patrzyłam na dąb, na którym powiesił się Ludwig. Tego jednego Georg zabronić mi nie mógł, okna mego więzienia wychodziły wprost na łąki i widziałam koronę prastarego olbrzyma ponad dachami zabudowań naszego folwarku. Dni wypełniała mi melancholia, żal i nuda bezczynności, noce strach, że Georg mnie odwiedzi i obrzydzenie do niego i samej siebie, gdy faktycznie sobie o mnie przypominał. Nadal liczył na potomka.

Tylko spoglądanie na to samotne drzewo przynosiło mi ulgę, koło rozdygotanie duszy. Wtedy też, któregoś z kolejnych dni podobnych poprzednim dniom, uderzyło mnie, iż dąb się zmienił. Dotąd zdawał się tkwić ostatkiem swych sił na krawędzi obumarcia, część gałęzi wyraźnie obsychała. Lecz teraz wybuchł gęstwą soczyście zielonego listowia, jakby jego korzenie wdarły się do jakiegoś podziemnego, cudownego źródła. Jakby nagle odzyskał siły i znów odmłodził, dumny i silny, gotów trwać i kolejne sto lat. Gdzieś w jego koronie zagnieździły się kruki, czasem ponad łąkami niosło się ich złowróżbne krakanie. Zdawały się mnie przyzywać. Kiedy jeden z nich wylądował na głowie marmurowej nimfy zdobiącej klomb pod moim oknem i znów zaniósł się skrzekliwym głosem, godnym pobjowiska raczej niż różanego ogrodu, uznałam, że nie mogę dłużej trwać w marazmie. Czarny ptak, zwiastun



śmierci, siedział na głowie nimfy i patrzył wprost w moje okna. To znak, zrozumiałam, a ja zawsze wierzyłam w znaki. Jeśli czegoś nie uczynię, szczenę w tych czterech ścianach. Muszę się stąd wydostać, muszę odzyskać wolność. A tylko jedna osoba mogła mi ją dać. Mój mąż okrutnik.

– Czy pan w domu? – spytałam pokojówki, która przyniosła mi śniadanie, zanim zdążyła uciec za drzwi. Nie chciała ze mną rozmawiać, zapewne Georg im zabronił. Czynił to już wcześniej. Nie pierwszy raz zamknął mnie w pokoju i próbował odciąć od świata.

– Ogłuchłaś, dziewczyno? – ponowiłam pytanie, wchodząc w obcesowy ton. Mój mąż włada majątkiem i moim życiem, to fakt, ale służba nie powinna zapominać, że ja, jego ślubna żona, także jestem tu panią. Nikt nie powinien o tym zapominać!

–Ttak, pani – wydukała dziewczka, mnąc wykrochmalony fartuszek, uchyliła usta i tak zamarła, przez co jej i tak prostolinijna twarz przybrała głupawy wyraz. Co za prostaczka, będę musiała sprowadzić służbę na poziomie.

– Tak co? – uściśliłam sobie. – Tak, ogłuchłaś?

Na jej gminne lico o grubych rysach wystąpił plackowaty rumieniec.

– Nie, pani Elizo. Pan w domu. Znaczy, w stajni. Koni dogłada.

Jakżeby inaczej. Tam wszak ulokował czułość i miłość, której mi odmówił. To swoim wierzchowcom poświęcał czas, starania i emocje.

– Przekaż memu mężowi, że zjem z nim kolację. I przyszykuj mi kąpiel.

Dziewczynisko trwało jeszcze parę chwil w stuporze, by wreszcie dygnąć bez wdzięku i ruszyć do drzwi kołyszającym się, kaczkowatym chodem. Może jednak warto ją zostawić na służbie... stanowiła wprost idealne tło dla mojej urody. Podobno prawdziwe piękno nie potrzebuje porównań, ale nie urodziłam się wczoraj, nie byłam naiwną gąską. Doskonale wiedziałam, że to, co urodzive, zdaje się błyszczeć jeszcze mocniej, gdy postawić je obok szpetoty. Miałam też świadomość, że me subtelne rysy, złote włosy i smukła, pełna gracji sylwetka to największe atuty, którymi obdarzył mnie los. Oraz jedyna broń, jaką miałam do dyspozycji.

Kiedy leżę w kąpielii pośród płatków róż unoszących się na wodzie, a służąca pokazuje mi suknie jedną po drugiej, decyduję się na białą, subtelną kreację, którą Georg zamówił dla mnie podczas naszej podróży poślubnej do Włoch, gdy jeszcze chciało mu się udawać, że mnie kocha. To wywoła u niego dobre skojarzenia. Gdy pierwszy raz mnie ujrzał w tej sukni,

oczy zaokrągliły mu się z zachwytu. Stwierdził, iż wyglądam jak rasowa klacz. Już wtedy ten komplement wydał mi się dziwny, ale, naiwna, sądziłam wówczas, że jego ograniczenie jest urocze, a to, że porównuje mnie do ukochanych zwierząt – wzniosłe i stanowiące dowód głębokiej miłości i przywiązania.

Nienawidziłam tej sukni. Niemniej, podkreślała wykwintnie mą sylwetkę, a gdy szłam, falbany burzyły się jak morze u stóp Wenus, którą widziałam na obrazie Botticellego podczas owego włoskiego miesiąca miodowego. Byłam do niej wręcz bliźniaczo podobna.

Georg siedział już za stołem, gdy wpłynęłam do salonu obok oranżerii. Czytał jakowyś list, jak zwykle marszcząc krzaczaste brwi. W prawym ręku trzymał kryształowy kieliszek, do którego misternie rżniętych ścianek lepiło się wino gęste i czerwone jak krew. Zamarł na mój widok w bezruchu, tylko jego oczy nadal się poruszały. Wędrowały zachłannym spojrzeniem po mojej szyi, koronkowym kołnierzu spiętym kameą z kości słoniowej aż do piersi. Wreszcie chrząknął i odłożył pismo na tacę, natychmiast zabraną przez służącego, który pokuśtykał z nią ku drzwiom. Był stary, łysy i kulawy. Wszyscy mężczyźni służący, których Georg zatrudniał, byli starzy, a część kaleka lub naznaczona bliznami czy pamiątkami po chorobach. Mój mąż w ostatnich latach wyrósł na prawdziwego konesera męskiej szpetoty, zdawał się kolekcjonować w naszym domu najbardziej wynaturzone, pokręcone osobniki własnej płci. Tak jak konie zawsze wybierał najpiękniejsze...

– Cieszę się, że wróciłaś do zmysłów – oznajmił, gdy zajmowałam miejsce za stołem.

Uśmiecham się wymuszenie, acz słodko i miło. Obiecałam sobie, że nie zmarnuję tej szansy. Nie będę jątrzyć, obstawać przy swoim, bowiem wiem, jak to się skończy – powrotem za zamknięte drzwi, za którymi zmarnieję i zamilknę jak me ptaszki w klatce. A ja pragnęłam wyfrunąć poza nie w szeroki świat. Powiem jeno to, co on chce usłyszeć.

– Tak, mój drogi – potwierdziłam, poprawiając ułożenie sztućców przy talerzu, po czym obdarzyłam Georga spojrzeniem łagodnym i nieśmiałym.

– Rozumiesz, że nie mogłem pozwolić, abyś uczestniczyła w pogrzebie – pociągnął, świdrując mnie oczami. – Ten młodzieniec ledwie trzy miesiące temu wyzwiał mnie na pojedynek ze względu na ciebie. Wszyscy w towarzystwie wiedzieli, że darzył cię afektem. To nie uchodzi, aby mężatka stała przy grobie chłopca, który zamachnął się na własne życie, bowiem liczył na jej względy i się przeliczył.

– Oczywiście, masz rację – stwierdziłam zgodnie i dałam znak służbie, by wносиła ciepłe potrawy. Gdy Georg się naje, wpada w dobry nastrój, powinien być wtedy łatwiejszy w rozmowie.

– Dlaczego więc ci na tym zależało? – dociekał tymczasem niby śledczy, gdy zwęszy zbrodnię i motyw.

– Sądziłam, że powinniśmy w takiej chwili pojawić się razem – odparłam cicho. – Żeby uciszyć plotki.

Zaległa cisza. Georg patrzył na mnie w milczeniu i dopiero korowód służących z półmiskami i paterami wyrwał go ze stuporu. Wygrałam, przynajmniej to pierwsze starcie, jednak to nie był koniec. Zaledwie antrakt na pieczyście.

– Co teraz planujesz? – Mój mąż podjął przesłuchanie niezwłocznie po tym, jak służba zabrała półmiski i wymieniła talerze.

– Och. Chciałabym na wschodnim zboczu założyć ogród różany. Z altanką. Myślisz, że mogłabym, mój drogi? – spytałam.

Trawił długo tę prośbę, jakby doszukiwał się drugiego dna. Wreszcie jego spojrzenie zmiękło, straciło na ostrości. Skinął głową.

– Może urządzimy w przyszłym miesiącu bal? Albo chociaż obiad. Tak dawno nie mieliśmy gości... – westchnęłam tęsknie i w tej samej chwili zrozumiałam, że przesadziłam. Georg zwęził oczy, odstawił kielich i otarł usta serwetką.

– Zajmij się ogrodem – stwierdził kategorycznie. – Żadnych gości.

I wstał, zostawiając mnie samą z deserem. Trwałam za stołem jeszcze parę pacierzy, dłubiąc łyżeczką w cieście. Nie zdobyłam wszystkiego, czego chciałam, ale drzwi od mojego więzienia się otworzyły. Mogłam wychodzić, oczywiście, pod kuratelą i obserwowana, ale to już jakieś zwycięstwo, choćby małe.

Teraz będę musiała za nie zapłacić i odwlekałam ten moment tak długo, jak tylko mogłam. Wreszcie wstałam i wróciłam do siebie. Z pomocą pokojówki zdjęłam suknię i rozczesałam włosy. Ułożyłam się w łóżu i czekałam.

Przyszedł niedługo przed północą. Wtoczył się do mej sypialni jak włościanin do stodoły, a po otaczającej go kwaśnej woni przetrawionego wina poznałam, że wypił znacznie więcej niż podczas naszej wieczerzy. Usiadł ciężko na łóżu. Przybrałam nieśmiałą minę

płochliwej sarny i czekałam, gdy pozbywał się metodycznie butów i kolejnych warstw przyodziewy.

Brzydził mnie jego byczy, poczerwieniały kark, włochata pierś i cuchnący oddech. I czułam obrzydzenie do samej siebie, gdy leżałam bezwolnie i pozwalałam, by spoconymi rękami o krótkich palcach mięłosił moje ciało, jakby ciasto wyrabiał w dzieży. Kiedy wreszcie wspiął się na mnie i zaczął posapywać odstręczająco, uderzyła mnie konstatacja, że nie bez powodu wybiera męską służbę podług kategorii największej szpetoty i najdalej posuniętego starczego zgrzybienia. Pragnie na ich tle wydawać się piękny i młody...

Ohydny potwór. Na szczęście szybko skończył i zapadł w sen. Mogłam wstać, wypłukać spomiędzy nóg lepkie ślady jego obrzydliwych afektów i spróbować wyprzeć tę noc z pamięci. Długo nie mogłam zasnąć. Georg pochrapywał i gwizdał przez nos, a gdy za którymś razem przewróciłam się na bok, by spoczywać jak najdalej od jego obmierzłego ciała, zobaczyłam w mdłej poświacie księżycy, że na parapecie siedzi kruk. Ptak przypatrywał się mi intensywnie i przysięgłabym, że w czarnym ślepiu kotłował się gniew. Uniosłam się na łokciu i wtedy kruk poderwał się do lotu. Nie musiałam wstawać, by wiedzieć, dokąd się skierował. Pójdę tam jutro, postanowiłam.

Zamiar ten okazał się o tyle łatwy do wprowadzenia w życie, że moja potulność i uległość przyniosły mi szybki profit. Gdy obudziłam się przed południem, służba mi doniosła, że pan Georg wstał rano i wyjechał w interesach. Na kilka dni, tak zapowiedział. Oczywiście, zniknął on, lecz jego oczy pozostały na miejscu. Miałam świadomość, że stangret i służąca, która towarzyszyła mi podczas przejażdżki, doniosą Georgowi o każdym moim słowie i uczynku. Jednak musiałam pojechać pod samotny dąb pośrodku naszych łąk. Coś mnie tam przyzywało, ciągnęło niewymownie, jak obietnica, która domagała się wypełnienia.

Stangret zatrzymał konie przy rozsypującym się kamiennym murku, w pewnej odległości od drzewa. Być może bał się duchów, w końcu prości ludzie wierzyli, że samobójca nie znajduje ukojenia po śmierci, jego duch błąka się po ziemi po wieczne czasy. Nawiedza ukochanych i mści się na krzywdzicielach, a i postronnych nie oszczędza.

Nie znalazłam w sobie ni krzty strachu. Wiedziałam, że Ludwig nie podniósłby na mnie ręki, ani za życia, ani po śmierci. Zbyt mocno mnie kochał, tą pierwszą miłością, która dla niektórych jest silniejsza niż wszystkie moce boskie i ludzkie.

Ruszyłam ku drzewu, podpierając się parasolką i podtrzymując suknię, aby falbany nie unurzały się w pyłe. Wokół dębu nie rosła trawa ani zioła, jakby stare drzewo wysysało z ziemi wszelkie soki potrzebne do wzrostu i nie pozwalało żyć innym roślinom w swoim cieniu. Obeschłe konary sterczały z zielonej korony niczym drapieżne szpony. Na jednym z nich przysiadła para kruków. Obydwa zrazu tłukły niecierpliwie skrzydłami, skrzeczały, jakby chciały wymóc na mnie jakieś postępowanie. Teraz, gdy zbliżyłam się do drzewa, uspokoiły się i tylko głowy przekrzywiały niecierpliwie, zdawało mi się, iż na coś czekają.

Na którą gałąź mój nieszczęsny Lancelot zarzucił pętlę? Nie mogła być zbyt wysoko. Obeszłam drzewo dookoła, znalazłam konar, pod którym ziemia była zdeptana przez wiele stóp. Nie wypatrzyłam jednak ani śladu po sznurze. Zapewne ktoś go zabrał, szubieniczny powróż uchodził za potężny amulet.

Westchnęłam, wyciągnęłam dłoń i przesunęłam nią po pełnych życia liściach.

– Dlaczego mnie opuściłeś? – szepnęłam z wyrzutem. Pozwoliłam sobie na to tylko dlatego, że stangret i służąca zostali przy powozie i nie mogli usłyszeć. – Miałeś go zabić, miałeś mnie stąd zabrać. Obiecałeś, że uczynisz mnie szczęśliwą.

Nie wiem, na co liczyłam, ale się zawiodłam. Nic się nie wydarzyło. Kruki nadal wpatrywały się we mnie intensywnie, wiatr poruszał drobnymi gałązkami. Postanowiłam zabrać jedną na pamiątkę Lancelota, jego porażki i niespełnionej przysięgi.

Drgnęłam i prawie ją upuściłam! Z miejsca złamania, skąd odjęłam mą zdobycz, sączyła się ciecz szkarłatna i gęsta. Taka sama broczyła z gałązki w mojej dłoni, plamiąc na czerwono koronkową rękawiczkę. To sok, oszukiwałam się przez chwilę, ale coś wewnątrz mnie już wiedziało. W drzewie płynęła świeża krew.

Nie wiem, czemu zabrałam gałązkę ze sobą i nie wyrzuciłam, tak jak pozbyłam się splamionych krwawo rękawiczek. Chyba tylko dlatego, że stanowiła jedyną pamiątkę po Ludwigu-Lancelocie, pięknym młodzieńcu, który gotów był dla mnie zabić i umrzeć, choć wyszło mu z tych zamiarów tylko jedno. Wsadziłam ją do wazonu na toaletce obok mojego łóżka. Woda szybko przybrała różowawy odcień i to mnie niepokoiło, lecz bardziej ciążyła mi świadomość, że zaryzykowałam wiedziona niejasnym przeczuciem – i nie zyskałam nic. Służbie nie mogłam ufać, a nikogo obcego Georg nie wpuści za próg – zwłaszcza jeśli będzie to młody mężczyzna, z którym musiałby rywalizować. Który mógłby mnie skutecznie przed nim obronić, w czym piękny Lancelot, niestety, zawiódł.

Myślałam o tym zmarłym adoratorze cały dzień i zrazu mnie nie zdziwiło, że i w moich snach się pojawił. Stał u wezglowia łóżka, urodziwy jak za życia, smukły i wytworny, lecz blady jak sama śmierć.

– Dlaczego we mnie zwątpiłaś? – spytał z wyrzutem, a z jego oczu wylało się morze smutku. – Miłuję cię. – Opadł na kolana, pośród pościeli począł szukać mojej dłoni, ale ja usunęłam się z trwogą. Te palce, które wędrowały po jedwabnych poszewkach, były sine i zimne jak lód, oczy Ludwiga podkrążone, jego usta fioletowe, a język, którego czubkiem oblizywał nerwowo wargi, dziwnie spuchnięty.

– Jesteś martwy – wyszeptałam, próbując zastawić się przed nim wątlą zasloną z pierzyny. On jednak zmarł, przestał szukać dotyku mego ciała.

– Czymże jest śmierć wobec miłości takiej jak nasza? – spytał, a jego smutne oczy rozogniły się jak za życia. – Obiecałem ci szczęście i wolność, ukochana. Dotrzymam słowa. Ty, tylko ty... – nie kończy, ale w jego spojrzeniu widzę bezmierne uczucie. Moje serce wreszcie zyskuje spokój, spływa na mnie ulga i nawet wyciągam ku niemu dłoń, choć dotyk ma lodowaty i nieprzyjemny. Czuć go wilgotnym zapachem grobu. Wytrzymuję. On całuje moje palce z zapamiętaniem, by wreszcie podnieść ku mnie oczy.

– Gdy tylko wróci – rzekł z szatańskim uśmiechem, który nie pasował do jego łagodnej twarzy. Były to ostatnie jego słowa, gdyż w tej samej chwili się obudziłam.

Nie nawiedził powtórnie moich snów, choć ja codziennie kazałam się wozić pod dąb. Pragnęłam nieustannego potwierdzenia, że nie zawiedzie, że mnie uwolni z mojej klatki, jednak nie otrzymałam już żadnego znaku. Nawet woda w wazonie, do którego włożyłam urwaną dębową gałązkę, oczyściła się i sklarowała. Wierzyłam jednak w tę obietnicę z zaświatów – bowiem odcięta od świata, nie miałam ponad nią żadnej nadziei.

W ostatnich dniach zabierałam nawet na przejażdżki koc, rozkładałam go i oparta o pień dębu, snułam marzenia o wolności i podróżach, balach i przedstawieniach, a nade wszystko – prawdziwej miłości.

Przestałam być ostrożna. Straciłam czujność. Na służbę, oczywiście, nie mogłam liczyć, wszyscy chodzili na pasku Georga posłusznie jak psy. Toteż kiedy pochłonięta słodkimi wizjami usnęłam pod dębem, żadne z nich mnie nie obudziło. Ani na początku, ani później, choć od razu musieli rozpoznać, że to pan wściekłym galopem pędzi ku nam od strony majątku. Ocknęłam się i zobaczyłam przed sobą siekące powietrze podkute kopyta

jego ukochanej klaczy. Charlotte toczyła pianę z pyska, jej boki spływały potem, a siedzący na jej grzbiecie Georg na przemian bladł i czerwieniał.

– Ty latawico! – wrzasnął. – Ty kłamliwa dziwko!

Skuliłam się pod dębem, zasłoniłam uszy dłońmi, żeby nie słyszeć. To koniec, pomyślałam. Zabije mnie tu i teraz, jak mogłam wierzyć w te gminne bajki i zrodzone z rozpacz i osamotnienia sny.

– Georg, kochany, proszę – szepnęłam błagalnie, ale mój ton, zamiast ugłaskać, jeszcze go rozjuszył.

– Kochasz tylko siebie, ty suko zdradziecka! – ryknął i wznosił szpicrutę nad głowę.

Krzyknęłam z przestachu. Cios jednak nie spadł. Gdzieś z góry rozległo się skrzekliwe krakanie, potem trzask, szelest liści i łomot. Jakby niebo się waliło. Georg krzyknął krótko. Dopiero wtedy zamknęłam oczy.

Kiedy je otworzyłam, mój mąż okrutnik leżał na ziemi przygnieciony ogromnym, suchym konarem razem ze swą ukochaną Charlotte. Klacz żyła jeszcze, choć musiały to być jej ostatnie chwile. Rzeziła płytko, pocharkiwała, grzebała kopytem w ziemi, próbując wstać, lecz nie pozwalał jej ciężar dębowej gałęzi ani złamany kręgosłup. Georg spoglądał nieruchomo w niebo, jakby tam miał znaleźć odpowiedzi na ważne pytania. Na moment powiodłam wzrokiem po sznurku jego martwego spojrzenia. Pień dębu w miejscu, gdzie oderwał się konar, broczył żywoczerwonym sokiem-krwią.

Ujęłam rękę męża. Służba zamarła, pewnie wzięli to za czuły gest, jakże niezwykle w naszym nieudanym związku. Ja zaś chciałam sprawdzić puls i to, czy jego piersi nie unosi oddech, i wstałam dopiero, gdy się upewniłam, że Georg naprawdę jest martwy.

Śmiało mogę stwierdzić, że był to najszczęśliwszy dzień tego małżeństwa. Odzyskałam wolność, stałam się wyłączną właścicielką rozległych dóbr, a w czerni prezentowałam się nadzwyczaj wytwornie.

Nie zamierzałam zresztą nosić jej zbyt długo. Szybko wyprzedalam znaczną część majątku. Zaczęli się już pojawiać pierwsi zalotnicy, co niebywale cieszyło moje serce. Tym razem wybiorę starannie i rozsądniej.

Martwiło mnie tylko jedno. Ludwig-Lancelot znów zaczął pojawiać się w moich snach. To stał milczący jak widmo, którym właściwie był, to znów czynił mi gorzkie wyrzuty, że nie przychodzę już pod jego drzewo, za to przyjmuję adoratorów.

Doprawdy, chyba sobie wyobrażał zbyt wiele, tak za życia, jak i po śmierci. Niemniej, nie sądzę, by on albo jego kruki odnaleźli mnie we Włoszech czy w Hiszpanii, którą zamierzałam odwiedzić w drugiej kolejności. Jego dusza pokutuje w drzewie, na którym się powiesił, i do niego jest przywiązana. Na wieki.

Ja zaś nazajutrz ruszam w podróż. Podobno nikt nie kocha tak ognisćie jak mężczyźni z południa! Muszę przyznać, iż wielce jestem podekscytowana!





# WARIATKA

Anna Musiałowicz

Siedziała odwrócona tyłem do drzwi, splatając i rozplatając palce, wygrzebując brud spod zniszczonych, żółkniętych paznokci. Otulała ją chmura brunatnego pyłu, który przy najmniejszym ruchu wzbijał się jak przestraszone muchy – nagle, nieco ociężale, mimo że nie powolnie. Smród, jaki wokół roztaczała, zdawał się przybierać kształty niczym wstęgi z dymu, był wręcz namacalny. Plecy miała zakrwawione. Cienka koszulina lepiła się do nich, tak że mogłam policzyć każdy kręg. Pochylała się, a mi jej pozycja skojarzyła się z widokiem skazańca czekającego na kata.

Obserwowałam ją zza przeszkłonych drzwi. Wyglądała jak wiedźma. Kontrast między sterylnością pomieszczenia a brudem kobiety sprawił, że poczułam do niej jeszcze większe obrzydzenie. Spojrzałam na jej włosy, próbując dostrzec wszy. Odruchowo podrapałam się po głowie. Kołtun sztywno opierał się o jej ramię. Czarci warkocz – skojarzyło mi się i aż wzdrygnęłam się na myśl, czy nie rzuci na mnie jakiegoś uroku. Wariatka przyszła – mówiono na korytarzu, a mi, jako najmłodszej stażem, przyszło zająć się jej ranami. Podobno pocięła się sama. Podobno przywiązała coś do sznurka i biczowała się, aż z pleców została miazga. Podobno. Teraz miałam to sprawdzić. Wzdrygnęłam się – nie dlatego, że przerażała mnie krew i to, co prawdopodobnie zostało z pleców kobiety, ale dlatego że sama konieczność dotknięcia jej wywoływała we mnie odruch wymiotny. Do pewnych rzeczy po prostu nie można się przyzwyczaić.

Odetchnęłam głęboko, próbując jak na zapas napełnić płuca powietrzem, na wypadek gdyby fetor nie pozwolił mi oddychać normalnie. Pchnęłam drzwi, niezbyt głośno wypowiedziałam „dzień dobry”. Kobieta nawet nie drgnęła. W pomieszczeniu unosił się skisły zapach niemytego ciała. Człowiek jest najbardziej śmierdzącym zwierzęciem, przekonałam się o tym niejednokrotnie, a jeśli w dodatku jest płci żeńskiej, w trakcie lub po miesiączce, smrodu nie da się porównać do niczego. Bez chwili zwłoki podeszłam do okna

i otwierałam je na oścież. Gdy zimny powiew wdarł się do pokoju, kobieta zatrzęsała się nieznacznie.

Podeszłam do stolika, na którym miałam już przyszykowane opatrunki. Chwyciłam blaszaną tackę i przeniosłam ją. Brzęczała przy każdym kroku. Gdy zbliżyłam się do kobiety, odwróciła głowę. Przeszyło mnie spojrzenie jej oczu – jak u spawacza – wciąż nie ślepych, ale niby wypalonych. Bładobłękitnych, jakby kolor z tęczówki się ulotnił.

– Znam cię – powiedziała.

Zatrzymałam się wpół ruchu. Zginiły zapach docierał do moich nozdrzy, ale przestał już sprawiać, że zółć zbierała się w przelyku. Spojrzałam w jej twarz. Była zaniedbana, choć pozbawiona pryszczycy. W porach zebrał się kurz, cętkując skórę czarnymi kropkami. Na ciemnych policzkach jaśniały ślady dawno wyschniętych łez. Patrzyłam na nią może zbyt długo, próbując w rysach kobiety dojrzeć coś znajomego. Kogoś znajomego. Bez skutku. Kobieta spłoszyła się i schowała głowę w ramionach i na powrót przyjęła pozycję skazańca.

– Możliwe – stwierdziłam ciut za głośno, tonem dodając sobie pewności. Fala odoru znów dotarła do nosa, aż zapiekło w gardło. – Dużo osób mnie kojarzy. – Dodałam, przełykając gęstą ślinę.

Kobieta pokręciła głową i intensywnie zaczęła skubać skórki przy paznokciach. Jedną zadarła zbyt mocno. Podniosła dłoń do ust, by odgryźć wystający kawałek. Zatrzęsało mnie. Musiałam spojrzeć w inną stronę. Człowiek to obrzydliwe stworzenie.

Gumowe rękawiczki miałam już nałożone, należało zabrać się za to, po co tu przyszłam. Przesiąknięty krwią materiał wyglądał, jakby zrósł się ze skórą.

– Nie pamiętasz mnie – usłyszałam cichy głos.

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, usiłując przełamać się, by wreszcie dotknąć kobiety. Mimo wstrętu do niej, nie chciałam przysparzać jej dodatkowego bólu. Krew częściowo już zaschła, musiałam ją odmoczyć. – Spróbujemy zdjąć bluzkę. Masz coś na zmianę? – zapytałam, choć znałam odpowiedź. Bezwiednie przeszedłam na „ty”.

Kobieta nie odezwała się, tylko delikatnie zaczęła wysuwać ręce z rękawów. Z oczu pociekły jej łzy. Odniosłam wrażenie, że to nie z bólu, że przykrość sprawiła jej moja ignorancja. Niepamięć. Nie potrafiłam jej współczuć, choć gdzieś w środku odezwało się

poczucie winy, że widzę w niej tylko przypadek, zresztą nieprzyjemny, do załatwienia, że moja empatia sięgnęła poziomu zera, bo takie jak ona są jak wrzód na dupie. Jak można się tak stoczyć? Tak, nie miałam wątpliwości, że to jedna z tych, które w dzieciństwie wygrały los na loterii życia, a potem marnowały wszystko, na co inni musieli ciężko pracować, a im przychodziło bez trudu. Jakoś bez wahania potrafiłam rozpoznać te, które z pokolenia na pokolenia dziedziczyły biedę – zazwyczaj były wyszczekane, roszczeniowe, a swoje sprawy starały się załatwić szybko. Miały zbyt wysokie mniemanie o sobie, jak królowe ze spalonego teatru. Ta tutaj, oprócz smrodu, roztaczała wokół siebie atmosferę wstydu i upokorzenia.

Zaczęłam pomagać jej przy zdejmowaniu bluzki. Najpierw przód. Kobieta nie nosiła stanika. Zaskoczył mnie widok jej piersi tak niepasujących do zwiotczonej skóry – kształtnych, pełnych, z równymi kołami brodawek ciut ciemniejszych niż skóra, ale wciąż różowych. Spodziewałam się wyschniętych na wiór torebek, smętnie zwisających z klatki piersiowej. Po chwili dotarło do mnie, że biust ma sztuczny. Cieniutka jasna linia blizny wkomponowała się w okrągły kształt. Kim była ta kobieta, nim doprowadziła się do takiego stanu? Widziałam wiele narkomanek, ale te „z wyższej półki społecznej” zazwyczaj miały kogoś, kto w odpowiednim czasie wpakował je na odwyk. Nawet jeśli ćpały dalej, były pod kontrolą – tak by nie wywołać skandalu i nie przysporzyć problemów zabieganym rodzicom. Namoczyłam gąbkę, a potem delikatnie dotykałam nią materiału na bluzce, by strupy odmokły. Powolutku, centymetr po centymetrze udawało się oddzielać tkaninę od skóry.

Kobieta syczała. Mimo że czytałam jej kartę, wciąż pozostawała dla mnie bezimienna.

– Jak się nazywasz? – zapytałam, usiłując być bardziej ludzka. Odpowiedziała. Podała nie tylko imię, ale i nazwisko.

– Teraz mnie pamiętasz? – zapytała, gdy na dosłownie trzy sekundy utkwiałam w bezruchu.

– Tak – stwierdziłam, siląc się, by w moim głosie nie pobrzmiwały emocje. Chciałam, by odwróciła się do mnie i bym ponownie spróbowała dojrzeć w jej twarzy znajome rysy. Nie poprosiłam jej jednak o to i dalej, choć już lekko drżącymi dłońmi, odlepiałam zakrwawioną koszulę od jej pleców.

Nie miało dla mnie znaczenia, kim była kiedyś. Siedziała tu teraz, wariatka, brudna, śmierdząca i obrzydliwa. Nie zasłużyła na taki los – aż ścisnęło mnie w żołądku. Jeszcze kilka

chwil temu nie była dla mnie nikim więcej niż odrażającą, cuchnącą kreaturą. Imię i nazwisko nadały jej ludzki wymiar.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? – zapytała. Nie musiałam odpowiadać. Wiedziałam, że opowie mi wszystko ze szczegółami, których wcale nie chciałam znać.

To była historia, jakich wiele – można je przeczytać w pismach dla znudzonych pań domu. Skończyła szkołę – tę samą, co ja – na maturze siedziałyśmy ławka w ławkę, potem poszła na studia, na prawo, by za jakiś czas przejąć po rodzicach kancelarię. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie pojawił się „ten jedyny”. Pokazał jej inny świat, a zachłyśnięcie wolnością kazało jej zboczyć z drogi, którą kroczyła od dzieciństwa, jak wówczas uznała, na postronku rodziców.

Na szczęście facet się zmył, miała wrażenie, że pomogły w tym pieniądze rodziców, a ona ze złamanym sercem wróciła na wytyczoną dla niej ścieżkę, ciesząc się, że nikt nie zdeptał drogowskazów, jak osiągnąć sukces. I że postronek, choć nieco wyświechtany i nie tak mocny jak niegdyś, wciąż pasował na jej szyję. Mógł albo z powrotem pociągnąć ją do przodu, albo ku górze jak pętla wisielca. Wówczas nie miało to dla niej większego znaczenia.

Słuchałam nieuważnie, bardziej zajmowało mnie odrywanie płatów materiału z jej skóry. Moje uszy słyszały już wiele historii, a ta, mimo że dotyczyła znajomej mi osoby, nie wyróżniała się niczym szczególnym.

– Wiem, co o mnie myślisz. Pogardzasz mną – zająknęła się kobieta, a ja nie potrafiłam skłamać, że jest inaczej. Było nawet gorzej – czułam chorą satysfakcję, że role się odwróciły i dziś to ona mi zazdrości jak ja jej kiedyś. Zazdrości? Czy w jej stanie można było czuć cokolwiek? Nie wiedziałam, jakie szaleństwo załęgło się w jej głowie.

Nie, to nie było tak, że się kiedyś nie lubiłyśmy. Że wywyższała się, gnębiła kogoś, że była zepsutą dziewczuchą z dobrego domu. Że skrzywdziła mnie, a ja miałam powód, by pragnąć jej nieszczęścia. Po prostu dziś było mi lepiej, że ona ma... gorzej. Nic osobistego.

Przy każdym jej ruchu smród zdawał się intensyfikować, ale przywykłam do niego. Nie drażnił już nozdrzy, nie powodował, że zbierało mi się na wymioty. Człowiek ma zdolność przyzwyczajania się do każdej sytuacji, nawet w najgorszych warunkach przestaje czuć niewygodę, jeśli nie ma wyboru. Nawet brzęczący nad głową komar nie drażni tak, gdy oczy kleją się do snu. Wszystko jest kwestią okoliczności.

W dole pleców materiał zszedł bez problemów. Bluzka, szmata właściwie, leżała na stoliku. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że gdy opatrzę kobietę, będzie musiała znów założyć to na siebie.

Zaczęłam obmywać jej plecy.

– To jedyna pamiątka, która mi po nim pozostała.

Woda z krwią ściekała do miseczki, a na plecach uwidaczniał się szaro-niebieski rysunek. Spośród splątanych gałęzi wyłaniała się twarz. Mimo licznych nacięć tatuaż wciąż zadziwiał precyzją wykonania, skomplikowaniem i dokładnością odwzorowania twarzy. Gładziłam wilgotną ściereczką linie, jakbym malowała je wodą na nowo. To nie był tatuaż zrobiony byle gdzie przez byle kogo. Musiał kosztować fortunę. Poczułam się głupio z moim motylkiem na kostce u nogi.

– Tylko nie patrz w twarz.

– Co? – zapytałam, nie odrywając wzroku od tatuażu. Hipnotyzował mnie. Przenikałam przez gałęzie, wchodziłam w głąb świata z tuszu, dawałam się opleść, a twarz – kobieca, delikatna, trochę przypominająca weneckie maski, śniła. Chciałam ją zbudzić.

– Nie patrz na nią! Nie pozwól, by poczuła twoją obecność! – krzyknęła kobieta.

Ściereczka wypadła mi z dłoni. Pochyliłam się, by ją podnieść, trącając przy tym tackę z opatrunkami. Nożyczki spadły na podłogę, powodując nieznośny hałas. Aż zgrzytnęło mi w mózgu.

– Ona mówi! Ona żyje! To wszystko przez nią – kobieta zanosła się płaczem, a ja na powrót poczułam wstręt.

– O co ci, kobieto, chodzi? – zirytowałam się zupełnie nieprofesjonalnie. Odwróciła się do mnie, a w jej oczach był obłęd. Błady błękit tęczy aż pulsował ze strachu. Bez wątpliwości kobieta miała nie po kolei w głowie, ale nie spodziewałam się, że aż tak. Chwyciła mnie za rękę, wyrwała ją zbyt gwałtownie, a ona, tocząc z oczu łzy, smarkając, próbowała złapać mnie jeszcze raz. Krzyczała, że mam uważać, że jeśli rysunek się zbudzi, dojdzie do tragedii, że głosy w jej głowie to ona, to ona, to ona... – Uspokój się! – krzyknęłam.

Uspokoila. Natychmiast.

Przesunęła się na krześle tak, bym miała dostęp do jej pleców. Twarz z tatuażu uśmiechała się przez sen.

– Nikt mi nie wierzy, że ona się budzi, że mówi. Że rozkazuje mi robić rzeczy, których nie chcę. – Staralam się nie słuchać. Obmywałam skórę kobiety najpierw wodą, potem płynem dezynfekującym. Powoli, ostrożnie, a każdy kolejny ruch stawał się coraz czulszy. – Myślisz, że mi brakuje piątej klepki, diagnozują u mnie schizofrenię. Obce dzieciaki krzyczą, że jestem stuknięta. – Gładziłam skórę niespiesznie, gałęzie rozchyły się pod moimi palcami, a mimo że głos kobiety docierał do moich uszu, znaczenie słów rozmywało się w gęstwinie, gdy zbliżałam się do śpiącej. – Chciałaby żyć, a uwięziona pod skórą potrafi tylko wnikać w myśli i krzywdzić, gdy nie wykonujesz jej poleceń.

Roześmiałam się wbrew sobie. Nie powinnam prowokować szajbuski. Odór jej niemytego ciała znów dotarł do moich nozdrzy. Pomyślałam, że nie będę mogła niczego przełknąć, gdyż jej smród nie opuści mnie nawet po wzięciu prysznicza, przez kilka dni podczas posiłków będzie wracał z każdym kęsem i cofał się treścią żołądka. Nie znosiłam tego stanu.

Skóra, której dotykałam, mimo że zaniedbana, była piękna. Wzór zdobił ją, lecz ta wariatka postanowiła go zniszczyć. Pocięte gałęzie opadały, oderwane gwałtem liście wzbijały się poruszane wiatrem oddechów, a śniąca leżała spokojnie, mimo że z jej twarzy ciekła krew. Głębokie bruzdy jak u Matki Boskiej z Częstochowy szpeciły jej twarz, więc gładziłam je, chcąc ukoić ból, chcąc zalepić je skórą własnych palców. Śniąca nie powinna tu być. Nie na ciele tej brudnej świruski.

Rany były już oczyszczone. Kobieta bezgłośnie płakała. Wzięłam gazę i nożyczki, z przykrością konstatując, że widzę śpiącą ostatni raz. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Nie byłam miłośniczką tatuażu, ale ten mnie urzekł. Chciałabym mieć taki sam. Ten sam. Uśmiechnęłam się, dotykając czule śniącej. Otworzyła oczy, by się pożegnać, a ja poczułam ból. Zrobiłam, co kazała, by mnie nie opuściła.

Widzę na rękach krew. Mimo że dawno mi ją zmyto, odbierając nożyczki, którymi dźgałam wariatkę, wciąż czerwieni się na moich dłoniach. Te mam skute. Trzęsą się, a w głowie słyszę głosy. Chcę dotknąć pleców, gdyż wiem, że ona tam jest. Wciąż mówi do mnie i prowadzi na zatracenie. Chciałam ją zniszczyć, wydrapać, wykłuć, wydłubać, więc skrepowali mnie. Patrzę na moje połamane paznokcie, pod którymi zdarta skóra miesza się

z brudem. Przeklinam moment, kiedy zapragnęłam ją na sobie mieć. Nikt mi nie wierzy, nikt nie słucha, gdy nie pozwalam obudzić śniącej. Nazywają mnie tu obłąkaną.

Słyszę kroki na korytarzu, wiem, że adwokat tu jest. Podobno kogoś skrzywdziłam. Wchodzi, jest piękną kobietą, co, nie wiem czemu, mnie dziwi, a jej warkocz połyskuje w świetle żarówki. Uśmiecha się, a z każdym jej ruchem dolatuje mnie zapach jej oszałamiających perfum.

– Próbowałam cię ostrzec – mówi, gdy zostajemy same, a śniąca na mojej skórze śmieje się przez sen.